

REFERENDUM- TERROR PODZIEMIA

Ireneusz Caban

Edward Machocki str. 4-5

TRYPTYK CZYLI DRZWI OD SZAFY

Jacek Grün

str. 6

PRAHA PO POLSKU

Maciej Podgórski

str. 7

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Handlowca

LUBLIN 17 XI 1974 Nr 23 (561)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

BURMISTRZA ŻYCIE W BIEGU

Ireneusz J. Kamiński

TRZECH kierowców, członek zarządu miejskiego i on, Mieczysław Luty, burmistrz miasta Stoczek Łukowski, które błysnęło w historii atakiem wiary na armaty, lecz obecnie, zaraz po drugiej wojnie, dopiero wyłaziło z ziemianek, zastępujących spalone przez Niemców drewniane domy, wznoszone niegdyś przez cierpliwych i oszczędnych rzemieślników, drobnych handlarzy i jeszcze drobniejszych rolników, co to na przednówku kredyty zaciągali. Pięciu obywateli Stoczka w przedziale pociągu wlokącego się z Warszawy do Gdyni, zatrzymującego się na każdej stacyjce, w polu, pod pomami, przy byle okazji. W teczkach ceratowych i gazetowych zawiniątkach prowiant wieźli, w portfelach trochę pieniędzy, na ramionach duże, a po stronie prawej — przydział Ministerstwa Komunikacji na cztery wozy ciężarowe z demobilu, które miały połączyć Stoczek ze światem. Ten przydział Luty wyprosił w ministerstwie, gdzie był pięć i dziesięć razy, wspomagany przez ziomka, który szczęśliwym trafem usadowił się w wysokim urzędzie i burmistrza popierał. A

burmistrz, człowiek niewysoki, czterdziestoletni, w kłęby machorki spowity jak w kożuch, zawzięcie pchał do przodu sprawę rodzinnego Stoczka, tak uparcie, że dyrektor departamentu owego ministerstwa nie wytrzymał naporu i podpisał przydział. „Za upór daję, za to, że uważacie Stoczek za pępek świata”. Tak zatem pięciu ludzi powolutku zbliżyło się do morza, spodziewając się bez trudu wyłowić złotą rybkę mechaniczną. Luty przewodził: jako burmistrz, wybrany jednogłośnie przez zarząd miejski we wrześniu 1944 roku, oraz jako fachowiec od spraw komunikacji.

Prawo jazdy zdobył jeszcze przed wojną, podszkolony przez krewniaka — mechanika, który takiego świadectwa nie miał, bo oblał egzamin. Poza tym, pracując w ówczesnym zarządzie miejskim, sprawował pieczę nad stoczkową komunikacją międzymiastową, która była głównym źródłem dochodów kasy komunalnej. Autobusów mieli pięć, a kursowały one do Łukowa, Siedlec,

Dokończenie na str. 8—9

Handlowe mydlenie

OCZU

Jerzy Dostatni

GDYBYM był człowiekiem łatwowiernym i wierzył ślepo w to, co napiszą jedni, podpiewają drudzy i podpiszą trzeci — musiałbym wystąpić do ministerstwa zdrowia z prośbą o natychmiastowe ukroczenie szkodliwej działalności stacji sanitarno-epidemiologicznych w Lubli-

nie, Janowie Lubelskim, Kraśniku, Tomaszowie i Zamościu. Albowiem placówki te, działając na szkodę gospodarki narodowej oraz obywateli, odważyły się wydać nakazy zamknięcia jednego sklepu spożywczego (w Kraśniku) oraz

Dokończenie na str. 4—5



Jedyne co mnie pociesza to fakt, że nie szata ozdobi człowieka...

Rys. L. Szałcki

WIELE ostatnio pisze się na temat kultury powiatowej jak i tej jeszcze bardziej prowincjonalnej. Zarówno jedna jak i druga mają swoje wznoszenia i osiągnięcia, mają też wiele niedociągnięć. Pracując od sześciu lat w „kulturze”, miałem możliwość widzieć to, co zasługiwało na miłano „dobrej roboty”; sam zresztą ją „robiłem”, często z różnym powodzeniem.

Moim zdaniem, środowiska małe, w których na dodatek brak jest przemysłu, tego przez duże „P”, automatycznie mają mniejsze szanse. Od przypadku do przypadku docierają wtedy do takiej miejscowości zawodowe zespoły artystyczne, a jeśli już dotrą to z programem, który w Lublinie byłby nie do przyjęcia. Ciągły brak pieniędzy, które urzędy gminne powinny zapewnić na pracę kulturalną, ogranicza działalność GOK-ów do włączenia telewizora, zorganizowania „dyskoteki” polegającej na uruchomieniu adapteru i „puszczeniu płyt” (tak to przynajmniej w Szczecznieszynie nazywają) lub wyświetleniu kilku filmów dla dzieci — i to jest wszystko. Wszystko, jeśli chodzi o Dom Kultury w Szczecznieszynie, obecnie GOK. Nudzą się więc młodzi mieszkańcy Szczecznieszyna, czekając na „lepsze

**W Szczecznieszynie
chrząszcz
brzmi
w trzcinnie
(tylko!)**

Marian Zachareczuk

czasy w kulturze”, bo sami — jak do tej pory — nie robią nic, by ten kulturalny letarg przerwać. Pamiętam, jak kilkanaście lat temu, kiedy to w Szczecznieszynie istniało Liceum Pedagogiczne, życie kulturalne tętniło. Wodewilowe dobre zespoły muzyczne, przygotowane i prowadzone przez Franciszka Lechowskiego, występowały zarówno na estradzie miejscowego Liceum jak i Domu Kultury, nie przypominam sobie, by zespoły te opuściły choć jeden przegląd czy konkurs. Miał też Szczecznieszyna swój teatr występujący z powodzeniem nawet w Lublinie, Rzeszowie, nie mówiąc już o miasteczku i jego okolicach. Zespołem tym kierowała Zofia Makarowa. Ale tak było kiedyś, obecnie nie ma nic, prawie nic, bo jest przecież GOK, ale bardziej jako zabitek niż placówka upowszechniająca kulturę w środowisku.

Pisząc i „kulturze” tego miasteczka proponuję, by przed nadchodzącym sezonem turystycznym 1975 r. już teraz poinformować turystów, że planując zwiedzanie Szczecznieszyna powinni wykreślić ze swoich planów zwiedzenie Izby Pamiątek poświę-

Dokończenie na str. 9

W CHWILI, gdy publikujemy ten tekst, w Rzymie obraduje Światowa Konferencja Żywnościowa. Fakt, że uczestniczy w niej sekretarz generalny ONZ, świadczy o wadze zagadnienia.

Zanim prasa szerzej zrelacjonuje przebieg debaty, warto przypomnieć niektóre materiały na ten temat.

Z referatu sekretarza generalnego FAO, dr. Addego H. Boermy na posiedzeniu Austriackiego Towarzystwa d/s Polityki Rolnej i Leśnej: — Niemal niemożliwe jest podanie dokładnych danych liczbowych, ilu ludzi na świecie cierpi dziś głód. Można to jednak ustalić w ogólnych zarysach. Jeśli niedostatek kalorii potrzebnych do prowadzenia aktywnego i zdrowego życia uzna się za ogólny miernik istnienia głodu, to według ocen FAO, dotyczących ostatnich dziesięciu lat, można założyć, że ok. 10–15 proc. ludności na świecie jest niedożywionych. Tak przedstawia się sprawa, gdy się bierze pod uwagę kalorie. Współczynnik znacznie wzrasta, gdy się uwzględni również tych, którzy cierpią z powodu braku w pożywieniu pewnych potrzebnych składników — protein, witamin i składników mineralnych.

O ile trudno jest postawić diagnozę dla bliskiej przyszłości, o tyle prawie niemożliwa wydaje się odpowiedź na pytanie, czy napięta sytuacja żywnościowa w świecie ma jedynie charakter przejściowy, czy też jest zjawiskiem trwałym. Wybitni fachowcy patrzą w przyszłość z głębokim pesymizmem. Wskazują oni nie tylko na oddziaływanie kryzysu energetycznego, lecz reprezentują także tezę, że zapotrzebowanie świata na żywność musi stale przewyższać zdolności produkcyjne rolnictwa i rybołówstwa. Decydującym czynnikiem są tutaj niekontrolowany przyrost ludności — z jednej strony, a brak ziemi oraz problemy środowiska naturalnego — z drugiej.

Traktując takie głosy poważnie nie powinniśmy jednak popełniać błędów i przyglądać się temu rozwojowi bezczynnie, jakby chodziło o apokaliptę i jak byśmy w ogóle nie mieli możliwości działania.

Fundamentalne znaczenie ma tutaj wzrost produkcji rolnej w krajach rozwijających się. Zużycie nawozów sztucznych w krajach rozwijających się ciągle jest jeszcze niższe, niż w krajach wysoko uprzemysłowionych. Dotyczy to szczególnie nawozów azotowych (w Afryce np. tylko 2 kg na hektar!).

Bez środka produkcji — nawozów — a zwłaszcza azotu, niemożliwe jest osiągnięcie wzrostu produkcji artykułów żywnościowych. Dotyczy to wszystkich kultur, lecz przede wszystkim wysoko wydajnych odmian zbóż, z ryżem włącznie.

Z artykułu L. A. Mayera pt. „Refleksje nad talerzem”, zamieszczonego w amerykańskim miesięczniku „Fortune”: — Naukowcy i badacze prowadzą szeroko zakrojone prace nad przyspieszeniem tempa wzrostu oraz podniesieniem walorów poszczególnych upraw roślinnych. I tak podejmowane są np. wysiłki zmierzające do przyspieszenia procesu fotosyntezy, uzyskiwania mieszańców przez łączenia komórek vegetatywnych, zamiast normalnego łączenia komórek rozrodczych w procesie zapłodnienia, przystosowuje się rośliny do wzrostu na glebach zasolonych oraz przystępuje do hydroponicznej hodowli roślin, to znaczy takiej, w której rośliny rosną w płynnym środowisku odżywczym, nie zaś w gruncie. Te nowe techniki stałyby się uzupełnieniem

największego i najbardziej znanego osiągnięcia w dziedzinie rolnictwa naszych czasów, czyli tzw. zielonej rewolucji, polegającej na stosowaniu nowych odmian wysoko wydajnych zbóż i nowoczesnych metod ich kultury w krajach Trzeciego Świata.

Dotychczas rewolucja ta sprowadziła się właściwie do dwóch upraw, to znaczy do pszenicy i ryżu. Mimo to jej zasługi są niepodważalne. Gdy w Indiach w latach 1965 i 1966 zawiodyły deszcze monsunowe, kraj ten musiał sprowadzić z zagranicy ok. 15 mln ton pszenicy, gdy zaś podobne zjawisko wystąpiło w 1972 r., wówczas można było ograniczyć import zbóż do 5 mln ton.

Inny problem. Zdaniem b. amerykańskiego sekretarza d/s rolnictwa, O. L. Freemana, jeśli świat pragnie uniknąć katastrofy żywnościowej po 1976 r. to musi położyć większy nacisk na rozwój produk-

cji rolnej w strefie tropikalnej. Tropiki posiadają fantastyczne możliwości produkcyjne w tej dziedzinie. „Byłem w fermach doświadczalnych — mówi — i oglądałem polętka eksperymentalne, z których zbiory różnych upraw były trzy, cztery czy nawet pięciokrotnie wyższe niż z najlepszych gruntów w USA. Gdy przez 360 dni w roku świeci słońce i wiadomo, jakie zabiegi agrotechniczne należy stosować, gdy dysponuje się nowoczesnymi środkami chwastobójczymi, owadobójczymi, nawozami sztucznymi, to można doprowadzić do prawdziwej eksplozji rolnej.”

Z artykułu H. Jacksona pt. „Jeśli boimy się roku 1984, to jaki będzie rok 1985?”, zamieszczonego w brytyjskim dzienniku „The Guardian”: — W ostatnich latach klimat na niektórych obszarach półkuli północnej, będących głównymi producentami zboża, uległ wyraźnemu ochłodzeniu, w związku z czym stały się one bardziej narażone na powódź, suszę oraz gwałtowne zmiany pogody. Obecnie w żaden sposób nie da się określić, czy

chodzi tu o rzeczywistą zmianę klimatu, czy też o zwykłe zaburzenia cykliczne. Zmiana przeciętnej temperatury o 1 stopień C może całkowicie zaburzyć normalny schemat życia roślinnego, opóźniając dojrzewanie aż o cztery tygodnie. Może również doprowadzić do całkowicie odmiennej struktury opadów.

Optymści twierdzą że gdyby wszystkie grunty rolne na świecie były wykorzystywane tak efektywnie, jak to ma miejsce w niektórych krajach uprzemysłowionych, nasza produkcja żywności wystarczyłaby na wyżywienie 60-miliardowej ludności, 12-krotnie większej niż obecnie. Argument ten zasługuje na uwagę tylko przy pominięciu czynnika czasu. Stoimy jednak wobec bezpośredniego problemu, dla którego rozwiązania długofalowe są niewłaściwe. Trudno bowiem wyobrazić sobie jakikolwiek mechanizm, który mógłby w ciągu najbliższych dziesięciu lat podnieść chłopca w Bangladeszu do poziomu technicznego i umysłowego farmerów duńskich czy holenderskich.

Z artykułu R. Browna pt. „Czy nadchodzi również kryzys żywnościowy?”, zamieszczonego w amerykańskim kwartalniku „Foreign Policy”: — Zapotrzebowanie na produkty o podstawowym znaczeniu, w szczególności nawozy sztuczne i środki owadobójcze, będzie przypuszczalnie rosło w niebywałym dotychczas tempie w pozostałych latach obecnego stulecia. Jeżeli sprawdzą się prognozy ekspertów ONZ, zaludnienie świata wyniesie pod koniec stulecia 6,5 miliarda. Właśnie wobec tych przewidywań trzeba będzie podwoić z nadwyżką stosowanie niezbędnych dla rolnictwa chemikaliów, a zapewnienie czystości wód w jeziorach i rzekach stanie się problemem o wiele poważniejszym niż dotychczas.

Obecnie szczególnie niepokój o przyszłość budzą

liczne trudności i zahamowania w zaspokajaniu rosnącego na świecie popytu na wołowinę, fasolę sojową i proteiny z połowów morskich. Co do wołowiny to istnieje dwie doniosłe przeszkody. Po pierwsze — agronomowie nie zdołali dotychczas wynaleźć żadnych dających się uzasadnić komercyjnie środków uzyskiwania corocznie większego przychówku, niż jedno cielę od jednej krowy. Na każdą bowiem sztukę bydła kierowaną do rzeźni produkującej wołowinę przypadać musi przez pełny rok inne dorosłe zwierzę, odpowiednio karmione i pielęgnowane. Tutaj nie widać rychłej poprawy sytuacji. Inne zahamowanie w produkcji wołowiny powoduje fakt, że potencjał wielkiej części istniejących na świecie pastwisk jest dziś prawie całkowicie wykorzystany.

Jeśli zaś chodzi o fasolę sojową, to uczeni nie

byli w stanie doprowadzić do takiego przełomu, by w istotny sposób zwiększyć jej plony z każdego akra. Tymczasem fasola sojowa stanowi jedno z głównych źródeł wartościowych protein na karmę dla bydła i drobiu, a ponadto jest bezpośrednio konsumowana przez mniej więcej miliard ludzi w gęsto zaludnionej Azji wschodniej.

Co się tyczy perspektyw światowego rybołówstwa, to znalazło się ono w poważnych tarapatkach, w dużej mierze wskutek nadmiernych połowów.

Już te wybrane fragmenty świadczą o powadze sytuacji na rynku żywnościowym. Widać z nich również, że ludność szuka wyjścia z impasu. Temu celowi służy również obecna konferencja rzymska.

Refleksje nie tylko nad talerzem

cji rolnej w strefie tropikalnej. Tropiki posiadają fantastyczne możliwości produkcyjne w tej dziedzinie. „Byłem w fermach doświadczalnych — mówi — i oglądałem polętka eksperymentalne, z których zbiory różnych upraw były trzy, cztery czy nawet pięciokrotnie wyższe niż z najlepszych gruntów w USA. Gdy przez 360 dni w roku świeci słońce i wiadomo, jakie zabiegi agrotechniczne należy stosować, gdy dysponuje się nowoczesnymi środkami chwastobójczymi, owadobójczymi, nawozami sztucznymi, to można doprowadzić do prawdziwej eksplozji rolnej.”

Z artykułu H. Jacksona pt. „Jeśli boimy się roku 1984, to jaki będzie rok 1985?”, zamieszczonego w brytyjskim dzienniku „The Guardian”: — W ostatnich latach klimat na niektórych obszarach półkuli północnej, będących głównymi producentami zboża, uległ wyraźnemu ochłodzeniu, w związku z czym stały się one bardziej narażone na powódź, suszę oraz gwałtowne zmiany pogody. Obecnie w żaden sposób nie da się określić, czy

ŚWIATY, W KTÓRYCH ŻYĆ NIE BĘDZIEMY

FANTASTYCZNA powieść Lema pt. „Solaris” sfilmowano w ZSRR; mogliśmy ją ostatnio oglądać w telewizji. Podobnymi problemami zajmuje się w Stanach Zjednoczonych — chociaż nie w formie beletrystycznej — Adrian Berry. Właśnie ukazała się jego książka pt. „Najbliższe 10 tysięcy lat”, analizująca problem przełamania przez ludzkość tzw. „bariery przestrzennej”.

Berry przewiduje, że w końcu XXI wieku podróże na planety Wenus i Mars będą tak popularne, jak obecnie rejsy transatlantyckie. W przestrzeni kosmicznej powstaną prawdziwe miasta-państwa (z połączenia wielu stacji międzyplanetarnych), zamieszkałe przez dziesiątki tysięcy ludzi. Odpadki, powstające w tych miastach-państwach, będą wydalane w specjalnych pojemnikach na zewnątrz i spalane przez promienie słoneczne.

W XXIII wieku ludzkość — zdaniem Berry'ego — zacznie się interesować Jowiszem. Ta monstrualnie wielka planeta nie nadaje się do zamieszkania, a ciśnienie jej gazów zniszczyłoby jakikolwiek statek kosmiczny, który usiłowałby do niej dotrzeć. Jowisz za-

lewają deszcze amoniaku, wieją też tam huraganowe wiatry. Powierzchnia Jowisza — jak się sądzi — składa się ze stałego i półpłynnego wodoru o przerażającej sile przyciągania. Z punktu widzenia człowieka planeta ta jest więc nieprzydatna, ale z jej masy mogłoby powstać trzydzieści osiem światów wielkości Ziemi! Ta perspektywa będzie kusiąca potomnych. Już dziś istnieją projekty „rozmontowania” Jowisza przy pomocy zbombardowania tej planety potężnymi ładunkami wodoru. Mówi się też o możliwości skierowania wiązki promieni laserowych na Merkurego w celu przyciągnięcia go do Jowisza. Obie połączone planety zapewniłyby wielkie źródło eksploatacji minerałów.

Jowisz to jednak dalsza przyszłość. Na razie najbardziej kusi ludzkość Księżyc. Berry uważa, że oplaca się dostarczyć na Księżyc płynny wodor, który jest dziesięciokrotnie lżejszy od wody, i może być bezterminowo stosowany. Wiadomo już, że na Księżycu znajduje się tlen, ponieważ w próbkach skał przywiezionych stamtąd znalaziono tlenek żelaza. Można więc wytwarzać tam wodę, a następnie uzyskiwać z niej tlen niezbędny do oddychania oraz uprawiania roślin w inspektach przykrytych hermetycznym plastikiem. Występująca na Księżycu słaba siła ciężkości umożliwi budowę wszelkiego rodzaju domów, szyn magnetycznych, gi-

gantycznych teleskopów z materiałami tak lekkimi, że na Ziemi nie wytrzymałyby najmniejszego podmuchu wiatru.

Powierzchnia Księżycy zapewnia najlepszą próżnię, wymaganą np. dla osiągnięcia idealnego spawania. Znakomicie nadaje się do konstruowania wysokiej jakości precyzyjnych urządzeń. Słabe ciążenie Księżycy sprawi, że osoby chore na serce będą mogły tam długo żyć. Eksploatacja surowców mineralnych na Księżycu nie grozi zanieczyszczeniem atmosfery, gdyż przy tamtejszej sile przyciągania zużywa się o 97 proc. mniej energii niż na Ziemi. Ekspedycje pojazdów z ładunkiem handlowym z Księżycą na Ziemię będzie więc znacznie łatwiejsze, niż podróz w odwrotnym kierunku. Powstaną też tam wielkie miasta podziemne, przykryte kopułami z plastyku i połączone między sobą długimi tunelami.

Z kolonizacją i eksploatacją planety Wenus będzie sprawa nieco trudniejsza. Trzeba tam również zapewnić atmosferę, umożliwiającą oddychanie. Opracowano już taki plan, w teorii dość prosty: promieniowanie słoneczne dociera do atmosfery Wenus, gęstej od dwutlenku węgla; promienie podczerwone zostają wchłonięte przez chmury. Idzie teraz o wysłanie na Wenus przy pomocy odpowiednich pocisków wielkich ilości alg — najprymitywniejszych na Ziemi mi-

kroskopijnych, jednokomórkowych organizmów, które mogą żyć, jak sprawdzono, w rozpalonej, uniemożliwiającej oddychanie, atmosferze takiej, jaka panuje na planecie Wenus. Algi przybywszy tam zaczęłyby natchmiast proces reprodukcji w atmosferze, zalamując stopniowo dominację dwutlenku węgla. W ten sposób — w miarę, jak tlen zastępowałby dwutlenek węgla — pochłonięte przez chmury promienie słoneczne wyzwałyby się i wysoka temperatura planety zaczęłaby opadać. I cóż nastąpiłoby dalej? Para atmosferyczna przemieniłaby się w wodę, wytworzyłaby się gruba warstwa chmur deszczowych, a ich opad spowodowałby powstanie na planecie rzek i mórz. Problem kolonizacji byłby rozwiązany. Oczywiście nie udało by się już żadną miarą zmienić wolnego obrotu planety wokół Słońca: tamtejszy dzień będzie równy 118 dniom ziemskim.

To układ słoneczny. A przecież szeregi astronomów twierdzą, że w naszej galaktyce istnieją setki milionów planet, mających warunki zbliżone do ziemskich. Niedaleki już czas, gdy opuści naszą planetę zautomatyzowana stacja kosmiczna z zadaniem poszukiwania nowych światów zamieszkałych, lub możliwych do zamieszkania. Jaki będzie efekt tego przedsięwzięcia dowiedzą się może ci, którzy urodzą się w następnych stuleciach...

skim. Te i inne akty miały zastraszyć ludność, by w referendum nie głosowała zgodnie z wezwaniem bloku stronnictw demokratycznych.

Oprócz szerokiej działalności propagandowej i terrorystycznej, podziemie zastosowało i inne metody działania, wykorzystując brak doświadczenia stronnictw bloku demokratycznego w organizowaniu tego rodzaju akcji politycznej, jakim było referendum. W województwie lubelskim na 749 obwodów głosowania, aż 633 należały do zagrożonych działalnością podziemia. Z drugiej strony stronnictwa demokratyczne, biorąc pod uwagę tak dużą ilość obwodów głosowania, nie były w stanie w wielu powiatach, a głównie na terenie Podlasia, zapewnić właściwej obsady komisji wyborczych. W ich składach członkowie PPR stanowili zaledwie 23 proc., podczas gdy bezpartyjni — 64 proc. A trzeba zaznaczyć, że wielu bezpartyjnych członków komisji wyborczych sympatyzowało z PSL, bądź współpracowało z podziemiem. Jeśli chodzi o PSL, to oficjalnie odmówiło ono udziału swych członków w komisjach wyborczych.

Licząc więc na skuteczność terroru grup zbrojnych, a także na wpływ swoje oraz PSL w komisjach wyborczych, podziemie reakcyjne nie tylko nie wzywało później do bojkotu głosowania, lecz przeciwnie, nawoływało nawet do powszechności w głosowaniu, uważając, że uda mu się terrorem i zastraszaniem wpłynąć na korzystny dla siebie wynik głosowania.

Spokoju nad przebiegiem kampanii przygotowawczej i głosowania ludowego strzegły jednak już poważne siły wojskowe, w skład których wchodziły jednostki 3 dp (7, 8 i 9 pułk piechoty i 5 pułk artylerii lekkiej), 5 pułk piechoty i 2 dp, 8 i 10 batalion operacyjny KBW oraz 1 i 2 batalion ochrony MO w sile 3282 milicjantów.

Desygnowanie tak znacznych sił wynikało z zaliczenia Lubelszczyzny do najbardziej zagrożonych województw w kraju. Wszystkie cztery lubelskie okręgi wyborcze (Siedlce, Chełm, Lublin i Zamość) należały do tzw. strefy „A” o najwyższym stopniu zagrożenia ze strony podziemia, na ogólną liczbę 12 takich okręgów w całym kraju.

Wojsko nie tylko paraliżowało akcję podziemia, ale i prowadziło szeroko zakrojoną akcję propagandową i wyjaśniającą. O zasięgu politycznego działania obozu demokratycznego przed referendum świadczy fakt, że ogółem przeprowadzono ponad 2 tys. spotkań i wieców ludności. Na terenie województwa rozpowszechniono ponad 13 mln sztuk ulotek i wydawnictw propagandowych.

Mimo więc silnego terroru reakcyjnego podziemia, nie udało mu się zastraszyć większości ludności. Wyniki głosowania w województwie były korzystne dla bloku demokratycznego. Na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało 68,8 proc. biorących udział w referendum, natomiast „nie” — 31,2 proc., na drugie — „tak” odpowiedziało 75,8 proc., a

„nie” — 24,2 proc. oraz na trzecie „tak” — 90,7 proc., a „nie” tylko 9,3 proc.

Na pierwsze pytanie „nie” odpowiedziało 278 654 głosujących. Nie byli to jednak tylko zwolennicy PSL. W liczbie tej mieściły się również i głosy ludzi głosujących zgodnie z wezwaniem WIN i NSZ. Na drugie pytanie „nie” głosowało bowiem już mniej, bo 216 652 osoby, a więc zgodnie z apelem PSL głosowały tylko 62 002 osoby, czyli 22,2 proc. ogółu głosujących „nie” w województwie. Natomiast zgodnie z wezwaniem reakcyjnego podziemia głosowało 71,7 proc. ogółu głosujących „nie”, w tym na 2 razy „nie” 48,8 proc., a 3 razy „nie” — 30 proc. całej opozycji.

Wyniki referendum nie we wszystkich powiatach były jednakowe. I tak w radzyńskim, siedleckim i białopodlaskim reakcji udało się zdobyć większość głosów dla swoich haseł. W tych powiatach tylko 30—40 proc. ludności głosowało zgodnie z wezwaniem bloku demokratycznego, a więc 3 razy „tak”. Jednak i tam głosujący zgodnie ze stanowiskiem PSL i raz „nie” stanowili zaledwie około 10 proc. spośród ogółu głosujących „nie”. Fakt ten nie wskazywał więc na zwycięstwo Polskiego Stronnictwa Ludowego, lecz na istniejącą jeszcze tam bazę społeczną dla działalności podziemia.

W świetle wyników referendum ukazała się dwiistość lubelskiego PSL, szersze i głębsze niż na innych terenach były wpływy WIN-u i NSZ w szeregach stronnictwa. Szersze i głębsze było jego powiązanie z reakcyjnym podziemiem. Wojewódzki Międzypartyjny Komitet Wyborczy w Lublinie w wydanej broszurze stwierdzał m. in., że „organizacja PSL w województwie lubelskim tysiącami więzami powiązana jest z działalnością band”.

Referendum okazało się wielkim sukcesem obozu demokratycznego. Wykazało bowiem, że jego wpływy w społeczeństwie zapewniają mu zwycięstwo w przyszłych wyborach powszechnych. Uzyskały powszechną aprobatę wszystkie podstawowe kierunki i decyzje władz Polski Ludowej. Stanowiło to moralne poparcie dla wszystkich zwolenników ludowej Polski. Jednocześnie wyniki referendum wykazały, że PSL drogą wyborów powszechnych władzy nie zdobędzie. Rozwiała się również złudzenia, że mocarstwa zachodnie będą interweniować na korzyść PSL, narzucając inną formę kontroli wyborów, aniżeli normalną, dziennikarską obserwację ich przebiegu, a był to przecież jeden z najczęściej powtarzanych postulatów podziemnej propagandy. Wszystko to wpływało na pogłębienie się przejawów kryzysu i przyspieszało procesy rozkładu w szeregach podziemia. W drugiej połowie 1946 roku będą one narastać szybko.

Niemniej siły reakcyjne były jeszcze silne w województwie. Najbardziej procesy rozkładowe wystąpiły wśród legalnej opozycji, głównie w PSL. W rezultacie szerokiej akcji politycznej, jaką prowadziły partie bloku przez cały rok 1946, a przede wszystkim w okresie przedwyborczym, pozycja PSL

na terenie województwa została poważnie osłabiona. Na przełomie lat 1946 i 1947 rozwiązane zostały, za powiązanie z podziemiem, zarządy powiatowe PSL w Puławach, Włodawie i Hrubieszowie. Działalność PSL zawieszono także w kilku gminach i gromadach. W tych przypadkach było to wynikiem odejścia ze stronnictwa wielu jego członków. Zarządy gminne PSL szybko likwidują się własnymi uchwałami — podawał starosta krasnostawski — i przypuszczam, że akcja ta zostanie zakończona w miesiącu październiku. W oparciu o te i inne przykłady Komitet Wojewódzki PPR wysunął tezę o „stanie zaniku” lubelskiego PSL. W grudniu 1946 roku podczas narady sekretarzy PPR przedstawiciel KW stwierdził: „PSL zostało politycznie rozgromione i znajduje się jeszcze tam, gdzie są bandy”. Nie była to jednak ocena we pełni słuszna.

Reakcyjne podziemie natomiast, zachęcone porażką stronnictw demokratycznych w referendum na terenie Podlasia, posunęło się do skrajnego terroru w drugiej połowie 1946 roku. W porównaniu do pierwszego półrocza znacznie wzrosła liczba napadów terrorystycznych. W okresie od lipca do grudnia 1946 roku dokonano na Lubelszczyźnie 1583 napady, na ogólną ilość 6 600 odnotowanych napadów w kraju. W ich wyniku oraz w akcjach operacyjnych zginęło 93 żołnierzy Wojska Polskiego, 9 żołnierzy Armii Radzieckiej oraz 300 osób cywilnych i funkcjonariuszy MO i UBP. Spośród tej ostatniej grupy sprawców śmierci zweryfikowano w 244 przypadkach, ustalając m. in., że 188 osób zginęło z rąk podziemia winowskiego. Był to więc ostatni desperacki zryw tego odłamu podziemia przeciwko władzy ludowej. W pozostałych 56 przypadkach, gdzie sprawcy śmierci pozostali nieznanymi, większość należy również przypisać działalności WIN nie tylko ze względu na to, że miały one miejsce w rejonach wzmożonej działalności tej organizacji, ale przede wszystkim dlatego, że grupy i bojówki WIN otrzymały w tym okresie wytyczne Komendy Obszaru Centralnego WIN zalecające maskowanie akcji terrorystycznych, które stwierdzały m. in., że „po użyciu pistoletu zaraz użyć łopaty. I kopny 3 metry głęboko”. Ponadto wytyczne te zakazywały kategorycznie zamieszczania jakichkolwiek informacji o własnej działalności zbrojnej w raportach organizacyjnych, nakazywano natomiast pisać, że „dokonał tego nieznany oddział, lub przypuszczalnie NSZ (...) Będziemy się rozumieć”.

Ten zryw podziemia, który podjęło ono w okresie kampanii wyborczej do Sejmu, spotkał się jednak ze zdecydowanym przeciwdziałaniem. W przygotowaniach do wyborów stronnictwa demokratyczne przeprowadziły szeroką działalność polityczną. Pod ochroną wojska zorganizowano w województwie 2 795 zebrań i wieców z udziałem około 300 tys. ludzi. Jednocześnie dokonano szeregu operacji wojskowych przeciwko zbrojnemu podziemi, w wyniku których zginęło 75 członków grup reakcyjnych, a 476 zostało aresztowanych. Zatrzymano również 758 osób podejrzanych o współpracę z podziemiem.

Równie naiwne i nie do przyjęcia tłumaczenia czytam w sprawozdaniach różnych oddziałów powiatowych WSS „Spolem”. Lubartów twierdzi, że zabrakło mu ćwierć miliona z powodu remontów dwóch sklepów. Wierzę na słowo, że remonty przeprowadzono. Ale czy była to klęska żywiołowa, która niespodziewanie spada na lubartowski PZGS? Czy nie przewidywano tego w odpowiednim terminie i czy wobec tego nie należało odpowiednio dostosować planu sprzedaży? Albo porównanie dwóch stwierdzeń: oddział w Tomaszowie jest zdania, że 5 080 tys. zł zabrakło mu na skutek remontu jednego sklepu ogólnospożywczego (jaka jest różnica między takim sklepem ogólnospożywczym a sklepem spożywczym — nie mam pojęcia), natomiast oddział we Włodawie wskutek identycznego remontu, a na dodatek jeszcze inwentaryzacji w sklepie elektrycznym, stracił tylko 946 tys. zł. Kogo to porównanie przekonuje o prawdziwości presza w Tomaszowie?

Zająłem się tymi pozornie drobniakami dłużej, ponieważ dosadnie ilustrują one pewien klimat samozadowolenia i lekceważenia klienta, jaki nie od dziś zadomowił się w niektórych kręgach naszych handlowców. Klimat szkodliwy nie tylko ze względów gospodarczych, ale i społecznych, a nawet politycznych. Władze partyjne i administracyjne podjęły już i wciąż podejmują nowe wysiłki, aby stale rosnące nominalne dochody ludności były równocześnie dochodami realnymi. To znaczy, aby zwiększona siła nabywcza była równoważona towarami o odpowiedniej ilości i jakości — i to nie tylko globalnie, ale i w poszczególnych asortymentach. Rosnącą pokazuje środki inwestycyjne, których celem jest zwiększenie produkcji i importu, importuje się coraz więcej artykułów gotowych i surowców. Do lepszego zaopatrzenia rynku zmierzają najpierw „akcja 20 miliardów”, potem „akcja 30 miliardów”, teraz „zapasy z zapasami”. Efekty były i są, nikt temu zaprzeczyć nie zdoła. Ale równocześnie są jeszcze zakłady, także w naszym województwie, które chcą zapchać ry-

nek tym, co im najłatwiej wyprodukować. Nasz handel zaś, szczególnie handel lubelski, po staremu przyjmuje to za dobrą monetę i usiłuje nam sprzedać towary, które mu najwygodniej kupić. Jednak klient nie chce i już, a jego przewaga polega na tym, że to on ma pieniądze i może nimi dysponować.

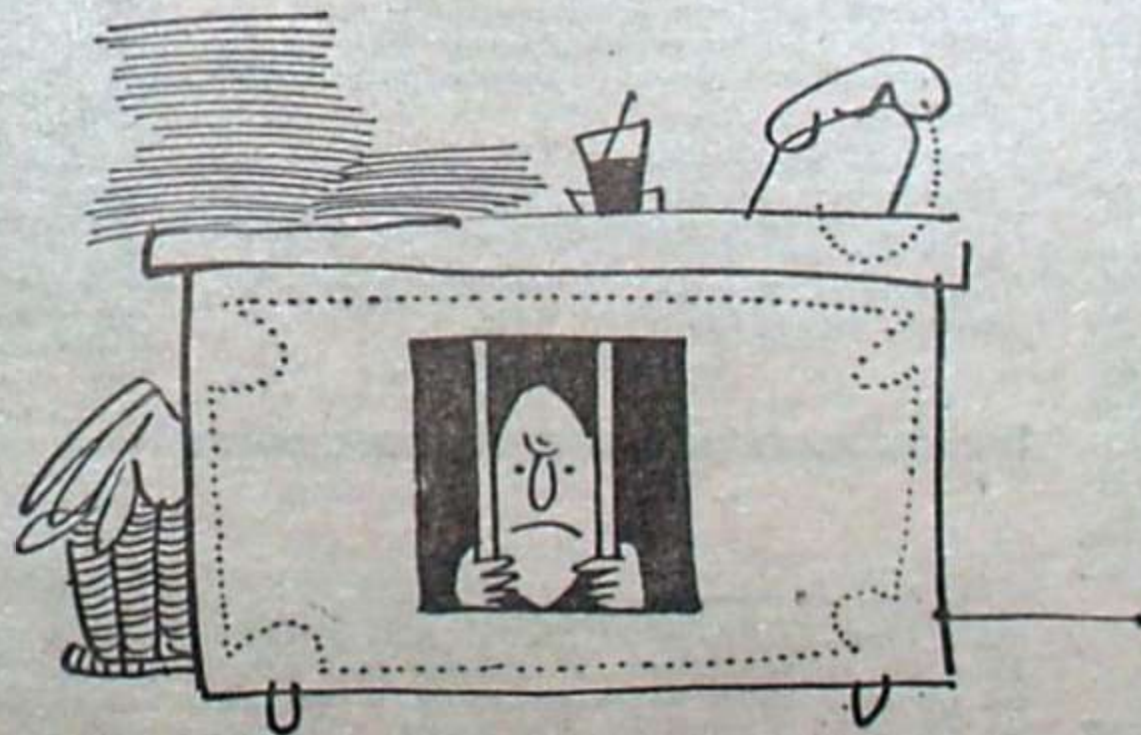
Najgorsze, że nasz handel uważa, iż najmniejsza krytyka pod jego adresem

Ze wciąż brakuje tkanin wełnianych, chodników, ubrań męskich, modnych kurtek czy płaszczy jesiennych, a teraz zimowych. Ze wciąż jest za mało telewizorów i magnetofonów, pralek czy naczyń emaliowanych, a nawet garnków aluminiowych. Na każdy bowiem zarzut handlowcy mogą odpowiedzieć, że tu i tam wysłali zamówienie, że tamten obiecał, a nie dotrzymał itd. Chodziło mi jedynie o pokazanie owej

Przemysłu Dziwiarskiego „Trawena” przechodziły poważny kryzys. W ciągu roku bieżącego cztery czy pięć razy nie wykonały miesięcznych planów produkcji, zaległości wynosiły już kilkadziesiąt milionów złotych. Wykazano to w materiałach na pewną konferencję wojewódzką. Ale wtedy wystąpił z pretensjami przedstawiciel „Traweny” stwierdzając, że na przedsiębiorstwo rzuca się kalumnie, że utrudnia się start nowemu kierownictwu itp. Rzeczą zaś polega na tym, że kilka dni przed naradą przedsiębiorstwo uzyskało tzw. korektę planu — oczywiście w dół. Kilkudziesięciomilionowy deficyt zmalał do kilku milionów, które prawdopodobnie da się nadrobić do końca roku, o czym nie mogło być mowy w poprzedniej sytuacji. No tak — formalnie wszystko jest w porządku. Rzeczą tylko w tym, że tak bardzo potrzebna produkcja dziwiarska warta około 30 milionów zł. nigdy już nie trafi na nasz rynek, a tych pozostałych kilku milionów jeżeli trafi, to nie w tym czasie, kiedy powinna.

Jerzy Dostatni

P. S. Już po napisaniu powyższego artykułu wpadły mi jeszcze w ręce inne ciekawe dokumenty i nie mogę się powstrzymać, aby nie przytoczyć najbardziej jaskrawych przykładów. Otóż w Lublinie wciąż cierpimy na niedostateczne zaopatrzenie w sery, nawet zwykły twaróg. Tymczasem mleczarnie w Kraśniku i Włodawie skarżą się na brak zbytu właśnie na sery. Nieznośny zaś „Sanepid” zamknął na sześć dni roboczych także ciastkarnię „Spolem” w Łukowie, wskutek czego przedsiębiorstwo nie wykonało planu na sumę 140 tys. zł. Proszę przeliczyć: 140 tys. zł w ciągu sześciu dni to oznacza sprzedaż 11 666 sztuk standardowych ciastek w ciągu jednego dnia, a Łuków ma wszystkiego 19 tys. mieszkańców. Tak to mydli się oczy sobie i zwierzcchnikom, a próbuje zamydlić także opinie publicznej.



W. Szalecki

jest niesłuszna, krzywdząca. Dlatego nie rozwodziłem się nad tym, jakich to towarów na naszym, lubelskim rynku brakuje. Ze np. prowadzona z pewnym sukcesem akcja „Życia Warszawy” pod hasłem „niemowlę też człowiek”, podtrzymywana u nas przez „Kurier Lubelski”, spotkała się z czymś w rodzaju pogardliwego wzruszenia ramion.

atmosfery samozadowolenia i nabierania siebie nawzajem. Kierownik pisze, że to brak klientów, inwentaryzacja (były i takie „uzasadnienia”) lub remont, stwierdzenia te powtarza przedsiębiorstwo, a potem zjednoczenie. Na zakończenie jeszcze jeden zakulisowy kwiatuśk szczególnej urody. Nie od dziś wiadomo, że Zakłady

I

KRYSTYNA: — Wszystko zaczęło się od tej cholerniej szafy. Wanda przytargła ją gdzieś od rodziców. Mówili, że jak ma niedługo wyjść za mąż (ciekawe za kogo?), to taki porządny jeszcze mebel przyda się, jak znalazł. Właściwie to tu, w hotelu, nie wolno stawiać swoich gratów, ale portier pomagał jeszcze wносить. Ja też, bo jak nie pomóc koleżance? Ja nie wiedziałam, że w tej szafie skrzypią drzwi, że nie można ich naprawić, że oliwienie nie da. Gdybym wcześniej wiedziała, porąbałabym to pudło siekierą. Jak tylko ona wieczorem, lub w nocy coś z szafy brała, był taki łomot, że ja spać nie mogłam. Przychodzę z drugiej zmiany zmordowana, zasypiam a tu — trrrrrr. Za chwilę znowu w innej tonacji — bzzzzz. Myślę — nie, zaraz będzie koniec, a tu znowu — trrrrrr. To mówię: przestań, bo ci tę szafę zabiją gwoździami. A ona znowu — bzzzzz. Poniosło mnie, no i rzuciłam popielniczką, ale jak człowiek jest zaspiany, a właściwie już we śnie, to nie odpowiada za swoje czyny. Prawda? Narobiła krzyku, chociaż ta popielniczka w nią nie trafiła. Rozbiła się tylko na podłodze. Wtedy Wanda powiedziała, że się odegra, jak tylko przyjdzie dobra chwila, ale poszła spać. I nie mówiłyśmy więcej o tym. Tylko że ona zaczęła mi naprawdę robić przykrychy rzeczy. Niby już spała, a jak tylko ja włazłam do łóżka i zgasila lampkę, ona wstawiała do szafy i trrrach.

— Nie lepiej było przeczekać? Może w końcu Wanda znużiłaby się taką zabawą. Przecież stara prawda mówi, że najlepiej smakuje owoc zakazany. — A czekałam, czekałam przez kilka dni. No i co z tego? Ile można tłumaczyć? Próbowałam różnych sposobów, prosiłam, groziłam, ale ją to bawiło, że niby ona musi koniecznie teraz do tej szafy. W końcu zapytałam portiera, co robić. Nie chciałam iść do kierownika z taką śmieszną sprawą. Przecież by mnie wyśmiał, tyle wrzasku o głupią szafę. Ja wiem dobrze, dlaczego mój chłopak zaczął dziwnie mnie wypytywać o to, co ja robię po pracy, z kim się spotykam. Teraz mi przyszło do głowy, kto mógł narobić tyle plotek. Potem portier powiedział do mnie: panienczko, jak się panienczka nie uspokoi, to wyrzucimy z hotelu. Zastanawiałam się i nie. Kiedy więc poszłam do portiera, on znowu swoje, że bym mu głowy nie zwracała szafą, bo on i tak wie, o co idzie.

— Portier wspominał, że pani miewała jakichś gości?

— Aaaaa, o to chodzi? No to co? Jak w biały dzień wpadnie kolega, albo dwóch, mieszcząca piętro wyżej, i wypiją herbatę, to jest przestępstwo? U niej też bywają, jak pracuję na drugą zmianę i nie interesuje mnie, co robią. Tu o coś innego chodzi. Wanda mieszka w sąsiedniej wsi. Ludzie z naszych wiosek nie lubią się, na zabawach ciągle bójki. Ona teraz chce się naprawdę odegrać. Narobiła mi zresztą jeszcze więcej kłopotów. Nie dość, że ciągle dręczy mnie tą szafą, to jeszcze na doświadczenia zabrania mi palić papierosy, bo jej lekarz zabronił wdychać dym. Od kiedy ona taka delikatna? Później zginęło jej takie pudełeczko z przyborami do paznokci i nie tylko że bym oddała, a ona z tego nie zrobi użytku. Potem znowu coś zginęło i ta wydra poleciała do kierownika na skargę. Kierownik zrobił rewizję i znalazł u mnie pod poduszką dwa pilniczki. Nie wierzył, że ja nie ukradłam, a to ona mi podrzuciła. W ciągu godziny cały hotel dowiedział się, że Wanda mieszka ze złodziejką. Zaplanowała sobie tak wcześniej, bo do głowy jej nie przyszło nagłe informować o wszystkim naszych wspólnych znajomych.

— Przecież mogła pani poprosić o przeniesienie do innego pokoju i w ten sposób zamknąć sprawę.

— Prosiłam, ale kto chce mieszkać z taką dziewczyną? Ona mi wyrobiła opinię, że tylko uciekać z hotelu i fabryki. Wszystko zaczynałam od portiera, bo znowu do kierownika nie chciałam chodzić. On się śmiał i żartował, że na dwie głupie baby może być tylko jedno lekarstwo: dwóch mocnych chłopów. Z Jurkiem wszystko zaczęło się psuć właśnie przez nią. Z szafą dalej było to samo. Chyba specjalnie nie spała, żeby w środku nocy otwierać i zamykać i tak w kółko. Gdybym nie wiedziała, że to przez złośliwość, może bym nie zwracała uwagi, ale tak? To jednak, co mi zrobiła na koniec, przerasta wszystko. Ja mam dwadzieścia sześć lat i wolno robić pewne rzeczy. Ona mnie przeprosiła za wszystko, przez dwa dni była słodka i myślałam, że nareszcie będzie spokój. W sobotę przyszedł Jurek, a ona powiedziała, żebyśmy czuli się swobodnie, bo jej nie będzie do dwunastej, idzie na zabawę i weźmie klucz, żeby mnie w nocy nie budzić. I o dziesiątej włazła nagle do pokoju z portierem i wrzaskiem, że ma dosyć czekania pod drzwiami. Za chwilę w pokoju było już kilka osób.

II

WANDA: — A skąd pan się o tym dowiedział? Chyba ona tak jak się odgrażała, napisała do gazety. Nie? Dziwne. Z szafą? Śmiechu warte, rzeczywiście przytransportowałam do pokoju szafę, ale wkrótce mam wyjść za mąż i każdy przedmiot będzie ważny. Rzeczywiście, ta szafa skrzypi, zresztą proszę do nas wpaść i posłuchać (trrrr i bzzz), ale bez przesady. Jej chodziło o coś zupełnie innego. Ostatnio zaczęło się między nią, a jej chłopakiem. Chodziła kwaśna i szukała, czego by się tu przy-

czepić? To jest normalne, że chciała się na kimś wyladować. Miała jakieś dziwne pretensje do mnie o mieszanie się w jej sprawy, w prywatne i intymne sprawy. Kiedy ja chciałam coś wziąć z szafy, krzyczała, że specjalnie otwieram i zamykam przez złośliwość. Jak ja mam w tej szafie wszystkie swoje rzeczy, to w jaki cudowny sposób mogę się do nich dostać? Najważniejsze jest zdrowie księżniczki. Wychowała się w sąsiedniej wiosce, tatuś, organista, dawał jej wszystko, tylko ona wypięła się na to i przyszła za chłopakiem tutaj i teraz jest rozczarowana. A może chce się na mnie odegrać, bo ludzie z jej wsi strasznie nas nie lubią i przy byle okazji pokazują to otwarcie?

TRYP- TYK albo DRZWI OD SZAFY

Jacek Grün

TEN tytuł powstał ze skojarzenia dwóch elementów: skrzypiących drzwi starej szafy wstawionej do hotelowego pokoju i uzupełniającej się relacji trzech stron w sprawie zaangażowanych — dwóch dziewcząt i portiera, który występuje tutaj jako osoba obiektywnie oceniająca wydarzenia, będąca sumieniem i głosem człowieka wszystkowiedzącego.

Miejsce akcji: hotel robotniczy w R., pokoje trzyosobowe, łazienka na korytarzu, kuchienki również. Trzecia mieszkanka pokoju odmawia wszelkich informacji, woli się — jak mówi — nie narażać. Krystyna, Wanda oraz Portier natomiast mówią i to bardzo dużo.

Chodziła do portiera naskarżyć na mnie, więc on mnie często wypytywał, jak to jest naprawdę. Mówiłam, co wiedziałam, aż jednego dnia zginęło mi przybory do paznokci. Pytam ją, a ona tylko się uśmiecha i mówi, że nie wzięła, gdyż może sobie kupić jeszcze lepsze. Potem zniknęły gdzieś moje dwie bluzki. Przecież nie chciała ich nosić, bo jak, ale to wszystko było przez złośliwość. Podczas jej nieobecności w otoczeniu kierownika i portiera zrobiłam rewizję i pod poduszką znalazłam wciągnięte pilniczki. Na to ona weszła do pokoju i...

— ...posądziła panią o podrzucenie tych rzeczy, a następnie o poinformowanie wszystkich prawie mieszkańców hotelu o jej „zdolnościach”?

— A nie powiedziała czasem, że to najpierw ona roztrząbiła, że ja jestem wydra, bo jej podrzucam swoje rzeczy i posadam o kradzież? Musiałam się bronić i mieć jakieś argumenty. Zwłaszcza jak

z jednego pokoju dziewczyny chciały ją przyjąć i pytały mnie, kto to taki. Powiem, że spokojna, to potem będą do mnie pretensje, kogo polecałam. Już wolę sama się męczyć. I dalej uczepliła się tej szafy, że spać przez nią nie może. Ta szafa rzeczywiście w nocy, jak jest bardzo cicho, głośno trzeszczy. Teraz ona pokłóciła się z Jurkiem i zaczęła przeprowadzać sobie chłopaków. Ja wracam, pokój zamknięty, klucz w środku; pukam, pytam kiedy będę mogła wejść — cisza, a wiem, że ona tam jest w środku. Nieraz deszcz padał, nie mogłam iść na ulicę, to szłam do portierni posiedzieć i poczekać. Ale to często długo trwało, portier się pytał, co jest, no to mówiłam. Ona mi kiedyś powiedziała, że mnie tu nie potrzebuje i zrobi wszystko za tę szafę, żebym nie mogła wytrzymać. No i doprowadziła do tego. Ja się przyjaźnię z Marysią, to jest trzecia lokatorka tego pokoju ale jej prawie nigdy nie ma w domu, bo ma chłopaka w R., i nie mam ochoty się stąd wyprowadzać tylko dlatego, że jakaś księżniczka chce mieszkać sama.

— Zarzucała pani przecież mieszanie się w jej sprawy osobiste, rozsiewanie plotek na temat życia prywatnego?

— Jeśli przychodzi jej chłopak i pyta, gdzie jest Kryśka, to mówię, co tu jest grane i dlaczego czekam pod drzwiami, to on nie chciał dać wiary. Szedł do miasta szukać po kawiarniach, może nie chciał w takie historie wierzyć? Co? Prosiłam, żeby się uspokoiła, żeby przestała wariować i czepiać się o głupoty — obiecywała dalej mnie dręczyć i znowu w nocy szalała z powodu szafy. Starałam się używać jej jak najmniej, ale nieraz nawet w nocy trzeba było. Nic nie trafiało do przekonania. Próbowałam nieraz zachować się jak gdyby nic się nie stało, ale jej chyba było potrzeba takich klótni. Nie potrafiła wytrzymać i jak już nie można było czegoś czepić, dręczyła mnie z tą szafą. Ja przecież nie będę wyrzucała mebli, bo się nie podobają mojej koleżance. Ostrzegałam ją, że kiedyś przyjdę z portierem i skończę z tym domem publicznym, ale gdzie tam, dalej uśmiechała się glupkowato. Któregoś dnia wróciłam wcześniej z zabawy (ona kazala wziąć mi klucz i przed dziesiątą nie wracać) i zapytałam portiera, czy Kryśka wychodziła. Powiedział, że chyba nie, bo on tu wszystkich zna, a tym bardziej ją. Poszłam pod drzwi i pytam, czy mogę wejść — cisza, pytam znowu — nie. Poprosiłam portiera i razem weszliśmy do pokoju. Ona zaczęła wrzeszczeć, że ja to celowo zrobiłam i tak dalej. Może to właśnie było powodem, że nareszcie przeniesiono ją do innego pokoju, ja mam już w każdym razie dosyć!

III

PORTIER: — No, no, to się dziewczynki zabaawiły, że aż taki wrzask koło tej sprawy podniosły, ale ja nic nie wiem, mnie to nie obchodzi. Tu mi za co innego płacą.

(Do kieszeni portiera wędruje pięćdziesięciostotwa łapówka).

— One są, panie, obie dobre. Jak jedna coś przekrobie, to druga lata jak kot z pęcherzem po hotelu i opowiada wszystkim, z kim ma przyjemność mieszkać. Czasem przychodzi tu do mnie i gadają. Jedna na drugą, trudno się zorientować, o co się rozchodzi. Ta czarna przywiozła szafę, sam pomagałem wnosić, ustawiać, myślę: ma baba tyle tych różnych ciuchów, niech sobie pouklada. To ta druga przychodzi, żeby szafę wyrzucić. Zwariowała, czy co? Bo ta szafa skrzypi i jej przeszkadza w spaaniu. To ja mówię, że mnie moja żona skrzypi nad uchem już czterdzieści prawie lat, a ja jej nie wyrzucam. O, tak chciałem zażartować, na to ona, że mnie poda do kierownika, bo ja nie przestrzegam regulaminu, tak mi powiedziała, a ja nie wiem, o jaki regulamin chodzi, to są ich pokoje, mieszczą tu przez całe lata.

Gdybym ja miał, panie takie córki, to bym im złoł skórę pasem i po krzyku, ale to samodzielne panny, dorosłe, pracują i swarzą się tak jedna z drugą bez żadnej przyczyny. Zobaczyłem tę szafę, skrzypi trochę, no to co z tego? Ale ta druga tak zaczęła tej doskwierać, że nie można było wytrzymać, a potrafi być zła, jak cholera. Potem przychodzili do niej tacy różni nie z hotelu, nie nie mówiłem, bo po co, dorosłe baby, mają swoją głowę. Ta jedna siedziała tu czasem i czekała, aż będzie mogła wrócić do pokoju i skarzyła się, jak jej z tamą źle. To mówię: niech się pani tu do mnie przeprowadzi do portierni, u mnie nikogo nie ma, a ja już za stary na gości. Zartowałem sobie, a ona do mnie: pan taki sam świntuch jak i Krystyna, czy jak tam inaczej. Wreszcie chciałem zobaczyć, jak to jest naprawdę i podsłuchałem trochę pod drzwiami, a tu drzwi cienkie i wszystko słychać, dlatego mówię, że one obie jednakowe. Niby najpierw cisza, a potem skrzypi szafa i już awantura na całe piętro. Kiedyś rozmawiali o tym chłopaku i jedna mówi do drugiej, żeby go odstąpiła, bo on jest dobry i znowu wrzeszcza na cały hotel. Ta trzecia, co tam mieszka, to albo jej nie ma, albo się wcale nie odzywa, zresztą zapytaj pan sam, może coś powie.

Razu jednego przylazła ta jedna w nocy, żeby z nią iść do pokoju, bo tam się coś stało i trzeba może zawołać pogotowie. Przestraszyłem się i leczę, a to ona była z chłopakiem i ta chciała, żeby to ludzie zobaczyli. Ale człowiekowi nudno, to się trochę zabawił. Jak skoczyły sobie do oczu myślałem, że będzie bitka, a żeby pan zobaczył jak tu się czasem baby biją, cyrk albo i lepiej jak w kinie. Ja tam szczegółów nie znam, ale swoje wiem, bo to już nie pierwszy rok pracuję. Obie są jednakowe i nie ma się co nimi przejmować. A ciekawe, co one panu nagadaly...

Jeśli szło o pogodę, to nie dopisała zarówno „złota polska jesień”, jak i „złota Praga”. Na praskim lotnisku powitał mnie taki sam ziąb, wiatr i deszcz, jaki mnie poźegnał w Lublinie i Warszawie. Prognozy pogody były fatalne, a w dodatku przyjechałem, nie zapewniając sobie z góry noclegu. Sytuacja zaś hotelowa w Pradze jest tragiczna, choćby dlatego, że latem spłonął potężny budynek central handlu zagranicznego i tłum ludzi trzeba było przekwaterować właśnie do hoteli. Pozostanie moją tajemnicą, w jaki sposób załatwiłem mimo wszystko noclegi.

W każdym razie, jeśli nawet zanosilo się, że będzie smutno i obco, to szybko się okazało iż jest bardzo swobodnie. I wcale nie musiałem zanieść gadzin-cjonalny, szukający w Czechosłowacji... Polaki, a w Polsce... Lubelszczyzny. Bo ta polskość była niemal pod nosem i prawie na każdym kroku.

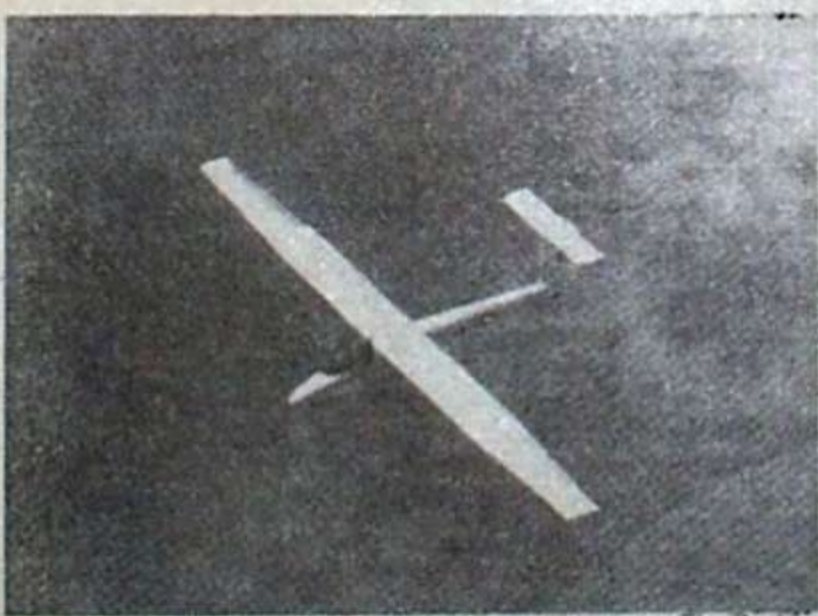
Podczas śniadania w „Park-Hotelu” stary kelner witał mnie łamaną polszczyzną: „Niech zije Tomaszewski, Deyna i Gadocha!”, pełno Polaków w tramwajach i sklepach, udzielamy sobie nawzajem porad turystycznych i handlowych. Polskie dni w TV, m. in. „Przygody pana Michała” w czeskiej wersji językowej. Tłumaczenia wierszy Gaietyńskiego przez radio, książki „Cztery pancerni i pies” w kioskach z gazetami. „Major Hubal” w praskich kinach. „Polska krew” Nedbala w operetce. Reklama w przejściu podziemnym pod Václavské náměstí, informująca, że polska „Wyborowa” stanowi podstawę każdego koktajlu. Płyty z piosenkami miesiąca Polskiego Radia. W numerze 11 „Supraphon Revue” Stan Borys oznajmia: Zpívám o problémech, které mé zajmají”. Polskie flagi na ulicach, a przede wszystkim polska wystawa gospodarcza „XXX lat socjalistycznej Polski”, czynna w dniach 11 — 28 października, zwiedzona przez około 200 000 osób. I o tej wystawie trzeba oddzielnie.

Była głównie — jako bodaj czy nie największa polska ekspozycja zagraniczna w ogóle — znakomita propagandą, powiedzmy nawet — reklamą naszego narodowego gospodarstwa i naszych wyrobów, poczynając od... piwa, kosmetyków „Polle-ny”, a skończywszy na całociowych obiektach przemysłowych. Nierzadko przeciętny prażanin dopiero z tej wystawy mógł się dowiedzieć, że posiadamy w Polsce kolorową telewizję, produkujemy magnetofony stereofoniczne i tak dalej. Zresztą i polski dziennikarz mógł się czegoś dowiedzieć o polskim przemyśle maszynowym i metalurgii.

Towary konsumpcyjne firmowali przede wszystkim producenci „cięższe” natomiast wyroby — centrale i przedsiębiorstwa handlu zagranicznego. Była więc wystawa również — niejako w znaczeniu ubocznym — rodzajem targów, podczas których transakcje, wstępnie negocjowane zresztą przed otwarciem wystawy, osiągnęły kwotę kilkudziesięciu milionów rubli, gdyby szło o polski eksport na rynek czechosłowacki.

Ktoś mógłby powiedzieć: albo wystawa, albo targi! Mnie jednak połączenie interesu handlowego z chęcią zobrazowania osiągnięć gospodarczych wydaje się pomysłem tyleż nieszablony, co i sensownym, choćbyśmy jeszcze nie mogli zaimponować Czechom naszym piwem czy naszymi radiami i choćby nawet były na targach centrale handlowe, które niczego na razie nie mogły oferować, mając już z tym rynkiem kontrakty na najbliższe lata zawarte.

Przyznam szczerze — nie interesowała mnie zbyt wiele konsumpcyjna wystawa, nasze absolutnie znakomite piwa, jarzyny, buty, garnitury



„Pirat”



„MI-2”

i sukienki, radia i magnetofony... Aczkolwiek można by sobie winażować tej jakości towarów na rynku krajowym! Już bardziej mnie fascynowała strona konsumpcyjna i wystrój karczmny słupskiej. Jak to porównałem z „karczmą słupską” lubelską, „Pod Fafikiem”, to ręce mi opadły i boleść duszącisnęła. Zainstalowana w Pradze karczma słupska została w całości kupiona przez naszych przyjaciół (poza polskim personelem, oczywiście), a czego w niej nie było: i koniki oraz huśtawki, bujające się przy barach, i piękności kaszubskich strojów, i bukiet dań staropolskich...

Ale tak serio zajęły mnie rzeczy nie do zjedzenia — za „ciężkie”. Wymienić tego wszystkiego nie sposób, więc przykłady tylko, czym słusnie możemy się pochwalic, a i po części sprzedać. Dla laika są to rzeczy na ogół niezbyt efektowne i trudno przekładalne na język potoczny, lecz... spróbujmy.

Oto „Impex-Metal”, centrala handlująca metalami nieżelaznymi i ich prefabrykatami — cynkiem, którego Polska jest siódmym w świecie producentem i zarazem eksporterem; aluminium, produkowanym na importowanych boksytach; miedzią, którą odkryliśmy w Polsce jakby przypadkowo, poszukując ropy, a teraz nasza miedź jest zarejestrowana na giełdzie londyńskiej, i eksportowana od roku 1970. Na przestrzeni roku 1973 miedź zdrożała w świecie o 100 proc., cynk zaś o 150 proc. Drugi kierunek to łożyska, których nasz przemysł wytwarza rocznie 80 milionów sztuk w 475 pod-

o tym przedsiębiorstwie handlowym, to Czechów bardzo zainteresowały szybowce typu „Jantar”, pierwsze polskie konstrukcje z laminatów o wielkiej gładkości skrzydeł i kadłuba a doskonałości 47, czyli mogące przeliecieć 47 km z wysokości 1 km (najlepsze w świecie mają doskonałość do 50, więc znajdujemy się w absolutnej czołówce). Po czechosłowackim niebie latają od dawna szybowce popularne typu „Pirat”, również eksponowane w Pradze, których produkcję z Bielska przejęła ostatnio WSK Swidnik, jak się okazuje — gestor nie tylko motocykli.

Po czechosłowackich torach jeżdżą polskie „Hopper-dozatory”, wagony samowyladowawcze do budowy magistrali kolejowych, eksponowane przez „Kolmex”, która to centrala pokazała m. in. również wagony kontenerowe, rodzinę lokomotyw spalinowych i elektrycznych, i rewelacyjne 90-tonowe węgiarki, nowość, produkowaną na razie wyłącznie na użytek magistrali węglowej wiodącej do Portu Północnego. Na tym stanowisku uzyskałem informację, że Polska jest czwartym w świecie producentem taboru kolejowego, a pierwszym eksporterem taboru towarowego w kolejniectwie światowym!

Do zjednoczenia „Bumar” należy 70 proc. eksportu polskich maszyn budowlanych, a — z drugiej strony — polskie budownictwo przemysłowe świętuje na rynku czeskim trwałe przecież sukcesy za pośrednictwem „Budimexu”, choć ta ostat-

PRAHA PO POLSKU

Maciej Podgórski

stawowych asortymentach. Jeśli szło o łożyska wielkogabarytowe, to głównym potentatem jest Fabryka Łożysk Toczących w Kraśniku, co musi cieszyć lubelskie serca. Polskie łożyska trafiają na wszystkie kontynenty do blisko 80 krajów, choć jesteśmy w tym zakresie młodym partnerem handlowym i choć posiadamy dopiero dwa składy konsygnacyjne, czuwające bieżąco nad potrzebami danego rynku (w RFN i Wielkiej Brytanii, we Francji w trakcie organizacji).

Na stanowisku „Centrozapu” rozmawiam z inż. Henrykiem Wójcikiem z warszawskiego „Prodlewu”, jednym z autorów rewelacyjnego urządzenia do transportu materiałów sypkich. Projekt tego urządzenia powstał w Instytucie Odlewnictwa Politechniki Śląskiej w Gliwicach przy współudziale biura konstrukcyjnego „Prodlewu”. Zainstalowany na praskiej wystawie model tego urządzenia dotyczy odlewni, ale transport pneumatyczny materiałów sypkich może znaleźć zastosowanie również w przemyśle cementowym, wapienniczym i gipsowym, w chemii nawozów sztucznych, w przeladunkach siarki, zboża i produktów rolnych ziarnistych. Na razie elementy urządzenia są wykorzystywane i kilkudziesięciu polskich odlewni. Sprawa jest niebagatelna, bo dotyczy gospodarki materiałami kłopotliwymi w transporcie i magazynowaniu wewnątrz zakładu ze względu na ochronę środowiska pracy i otoczenia. „Nasz projekt ma przekonywać, że planowanie nowych odlewni lub modernizację starych należy rozpoczynać nie od technologii procesów odlewniczych, lecz od gospodarki materiałami. W transporcie pneumatycznym, w odróżnieniu od mechanicznego, uzyskuje się minimalne zapylenie zakładu, zmniejsza się znacznie miejsce zajmowane przez urządzenia transportowe, ogranicza koszt konserwacji i wiele jeszcze można by mówić. Gdyby ten pomysł zastosować w technologii produkcji miedzi, to koszt tej produkcji stanąłby o 50 procent!” — kończy inżynier Wójcik.

O dwu urządzeniach pokazywanych na stanowisku „Centrozapu” wypada przynajmniej wspomnieć. O piecach indukcyjnych do topienia żelaza, projektowanych w bytomskim „Prodlewie”, skutecznie konkurujących z konstrukcjami takich firm, jak szwedzka ASEA, szwajcarska Brown-Boveri czy zachodniemiecka AEG. I wreszcie o urządzeniu służącym do odpylania gazów z pieców żelazkowych (również indukcyjnych). Gazy odlotowe z takiego pieca zawierają do 25 kg pyłu na tonę wyprodukowanego żelaza. Zaprojektowane i wykonane w zjednoczeniu „Klimawent” urządzenie odpylające nieszkodliwa te pyły prawie w całości!

I tak oto okazuje się, że „Centrozap” handluje maszynami i urządzeniami dla przemysłu, którego wyrobami handluje z kolei „Impex-Metal”. Ja zaś mam poza sobą najtrudniejsze z tego, co chciałem pokazać. Dalej bowiem będzie już tylko o wyrobach, które jeżdżą na własnych kołach lub latają w powietrzu, jak choćby śmigłowiec Mi-2, produkowany w Swidniku (wylądował na praskiej wystawie, prowadzony przez pilota Dyczkowskiego), a eksponowany przez „Pezetel”. Skoro już mowa

nia centrala skłonna byłaby zapewne więcej nabywać od „Bumaru” w ramach eksportu wewnętrznego, i tu już się tak wszystko pięknie nie zabija jak między „Centrozapem” a „Impex-Metalem”. Ale może to tylko spostrzeżenie laika. „Bumar” to produkowane przez wielkopolski „ZREMB” — z którego dyrektorem ekonomicznym, Władysławem Radomskim, dzieliłem praskie dole i niedole hotelowe — dźwigi towarowo-osobowe „Gniezno-1000” (nie od 1000-lecia, lecz od kilogramów udźwigu), agregaty tynkarskie, żurawie budowlane wieżowe, kruszarki, młyny budowlane... „Bumar” to maszyny drogowe, czyszczarki lotniskowe, a przede wszystkim rodzina koparek, ładowarek i żurawi samobieżnych, spycharek także. Jeden z większych kontraktów zawarty podczas wystawy — 3,5 mln rubli.

Samochody osobowe, dostawcze i ciężarowe to domena „Pol-Motu”. Rodzina „Fiatów”, rodzina „Zuków” (więcej FSC Lublin), rodzina „Nys”, „Autosany” międzynarodowe, „Berliety” miejskie, przyczepy kempingowe i towarowe (nawet „pod... Fiata 126”), nowe „Stary”, gigantyczna trzyosobowa 18-tonowa wywrotka „Jeicz” w kooperacji z austriacką firmą „Steyr”. Wyrośliśmy na liczącym się partnera w dziedzinie samochodowej, budźmy zainteresowanie w kraju o dużych tradycjach motoryzacyjnych. Nie wszystkim jeszcze możemy handlować na szerszą skalę, niektóre pojazdy dopiero wchodzi do produkcji. W każdym razie z samej wystawy Czesi kupili 27 samochodów, głównie osobowych. Ale przecież tu nie idzie o handel tylko eksponatami pojedynczymi, gdyż wartość kontraktów eksportowych wyniosła 3,25 mln rubli.

Najbardziej mi się spodobał serwis reklamowy właśnie „Pol-Motu”, teczka zawierająca nie tylko normalne foldery i prospekty, ale również kolorowe zdjęcia, notatnik-kalendarz, kalkomanie samochodową, pocztówkę dźwiękową, a nawet wycinany model „Fiata 125p”. Ponadto centrala handlowa i fabryka opiekują się siedmioma istniejącymi na terenie Czechosłowacji „Fiat-Klubami 125p”, których uczestnicy co roku spotykają się w Warszawie na parodniowych zjazdach. Z okazji wystawy odbył się zjazd w Pradze, m. in. uroczysta defilada samochodów przez miasto. To też jest reklama, w dodatku pierwszorzędna. Nawet jeśli nie każda firma na to stać (bo jak założyć klub towarowo-osobowy „Gniezno-1000?”) — trzeba rzec, iż praska wystawa zaskakuje pozytywnie poziomem i jakością poligraficzną druków reklamowych. Oglądałem foldery japońskie i zachodnio-niemieckie — śmiało możemy się równać, nawet jakością papieru. Główna to zasługa Wydawnictw Handlu Zagranicznego, choć czasem przychodzi drukować nasze prospekty w Lipsku czy Wiedniu.

Czyżby na praskiej wystawie zabrakło firmy „Polimex-Cekop” i innych tradycyjnych już gigantów handlowych? Nie zabrakło! Ale myślę, iż ten skrótowy i wyrwykowy przegląd firm tylko dużych i średnich daje pojęcie, z czym i jak się pokazaliśmy w Pradze.

Mińska Mazowieckiego i Garwolina. Raz dziennie przedwojenny „fiat” zabierał ludzi do Warszawy, wyjeżdżając około szóstej rano. Bilet kosztował 3 złote; za kilogram dobrej kiełbasy płacono 2. Autobusy montowali sposobem: najpierw kupowali podwozia, a potem, w stolicy, karoserie — za 4 lub 5 tysięcy. A Stoczek pchał się do świata, choć było to miasteczko niewielkie, zaledwie trzysięczne, czyli krótkohoryzontalne, spokrewnione do granic występku. Do 50 pasażerów zabierały autobusy, a z tego wszystkiego pęczniała kasa miejska i były środki na wzniesienie domu ludowego, szkoły, położenie bruków i zasypanie sadzawki śmierdzącej w środku Stoczka.

Autobusy nie są jednak dobre na wszystko; kiedy kryzys spadł na miasto, na kraj cały, nie dały rady. Więc mieszczanie dobrali się do urzędników zarządu, poprzez radnych domagając się obniżenia im pensji. „Ciecili” chwacko, na zebraniach najczęściej gardłował pewien kowal, przyzwolony skądinąd człowiek. Więc Luty nie zdzierzył i machnął ostro-ironiczny artykuł do „Gazety Łukowskiej”, wydawanej przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Miał w tym rzemiośle wprawę i spore już doświadczenie, nawet zza oceanu dostał raz 25 dolarów honorarium za wiersze opublikowane w polonijnym „Kurierze Polskim” czy „Gwieździe Porannej”. Ten artykuł w „Gazecie Łukowskiej”, to była wręcz wspała bomba, fajerwerk społeczno-obyczajowy, można powiedzieć. Starosta się zaniepokoił — demokracji za wiele, źle — kowal bił się w piersi, wrzaskliwie pytając, za co go Luty opisał, za co prawego obywatela w gazecie obmarował, tfu?! Ale urzędnicy zarządu miejskiego ponieśli na rękach kierownika rachuby, owacę urządzili, serca mu oddali — jako że między sercem a portfelem więź strasznie mocna istnieje: zawsze i wszędzie.

Powolotku zbliżał się pociąg do morza w 1946 roku, czerwcową porą. Miał sterty gruzów, które udawały dworce, zabierał nędzne odzianych, lecz wesółych ludzi, ostro pociągających „perłę” z litrowych butelek, śpiewających jaja na twardo i słoninę wędzoną, śpiewających po mazursku i wileńsku, sposobiących się do osiedlenia Zachodu.

Przyjechała ekipa stoczkowa do Gdyni. Wynajęła kwatery prywatną. No i od razu, żeby czasu i pieniędzy nie tracić, do bazy, gdzie wydawano samochody. Głębieli, więc i przekonanie mieli, że wszystko potoczy się gładko. A tu tymczasem, hola! Czekać im każą, a w ogóle wydziwiają nad całą sprawą. Stoczek? Jaki Stoczek? Gdzie Stoczek? Armaty pod Stoczkiem? Dobra, dobra, ale czekać trzeba. Więc czekali. Tydzień. Pieniądzy coraz mniej, z jedzeniem kručą. Ale burmistrz chodzi, podchodzi i naciska. Z ministerstwem wygrał, to tu nie da rady?! Nie daje. Portfele coraz chudsze. Pierwszy opuszcza ekipę i Gdynię członek zarządu: wróci do Stoczka po pieniądze, a poza tym warsztat musi prowadzić. Głód wyszczerza gębę do trzech kierowców i burmistrza. Luty nie rezygnuje, szuka doświadczenia. Spotyka znajomego marynarza, a ten radzi mu skontaktować się z pułkownikiem Orłowskim, który urzęduje w Orłowie i zawiaduje rozdzielaniem samochodów. Pułkownik okazuje się być życzliwym człowiekiem, wiezie burmistrza do stoczni, gdzie na rozległym placu stoją wymarzone wozy z demobilu. Na tym jednak kończy się pomoc władzy wojkowej; kilkakrotnie jeszcze Luty odwiedza stocznię — żeby chociaż popatrzeć. Tymczasem ekipa traci kolejnego członka; kończy się trzeci tydzień bezowocnego pobytu nad morzem, rybka mechaniczna nie chce trafić do sieci.

Zbieśli się Mieczysław Luty, który zanim został burmistrem, służył w Milicji Obywatelskiej, znał zasady sprawnego działania. Pewnego wieczoru zamarudził w stoczni, obejrzał się na boki i hyc pod plandekę „jamesa”. Cicho siedzi, dym z peta w

rękaw wydmuchuje, prosi wszystkie moce o noc szybką i łagodną. Tymczasem warty wojskowe rozstawiają, szcęk broni do parteru burmistrza przydusza: ruch jakiś podejrzany zobaczą, ubić w pośpiechu mogą przedstawiciela „pepka świata”. Śmieszna sprawa: pierwszy obywatel Stoczka Łukowski leży w bojaźni na deskach samochodowej skrzyni, w milczeniu leży człowiek, który jeszcze jesienią 1944 roku założył pierwsze na Lubelszczyźnie terenowe koło Stronnictwa Demokratycznego, co było równoznaczne z utworzeniem pierwszej w ogóle stoczkowej organizacji politycznej. Pomagali mu w tym Polikarp Marciński i Józef Sawicki, a działacze musieli być i energicznie, jeśli okresowo na 24 radnych miejskich — 20 należało do Stronnictwa. Z programem ideowym SD zapoznał się Mieczysław Luty dopiero kilka miesięcy później, kiedy przypadkowo wpadła mu w ręce ulotka sygnowana przez Wincentego Rzymowskiego. Do tego momentu wystarczał mu w zupełności przy-

Spróbował więc szczęścia w Wilnie, gdzie z kolegami zaczął wydawać literacko-ludowy „Lirnik”, drukowany na pedałowej maszynie. Po trzech bodaj numerach pismo upadło, zdążywszy jeszcze opublikować co nieco z twórczości Józefa Kapuścińskiego, Antoniego Kucharczyka, Kachny Łęcznianki czy „Jagienki spod Lublina”. Najał się więc Luty, aby żyć, do roboty fizycznej, czyli do pompowania wody w cementarnej scenarii. Ostatecznie głęboko rozczarowany, wrócił do Stoczka, gdzie podjął pracę w zarządzie miejskim, ostro działając także w LOPP. Spowodował mianowicie kupno mocarnego „forda” ciężarowego, na którym zainstalowano wąskotaśmowy aparat projekcyjny. Ukończył Luty kurs operatorów kinowych, wsiadł do maszyny i dalej objeżdżał okoliczne wsie i miasteczka, oferując ludziom kulturę pod postacią żywych obrazów. We wsi Latowicz pojawił się z „Halką”, której towarzyszył dodatek pt. „Sprowadzenie zwłok św.

BURMISTRZA ŻYCIE W BIEGU

miotnik „demokratyczne”, rezonujący z przekonaniami burmistrza. Rzymowskiego widywał jednak znacznie wcześniej, gdzieś w latach dwudziestych.

Ojciec Lutego, mistrz stolarski w Stoczku, miał siedmioro dzieci. Mieczysławowi zapewnił średnie wykształcenie, ale na dalszą edukację syna nie starczyło mu już środków. Więc latorośli spakowała manatki i pojawiła się w Warszawie. Ciągnęło chłopaka z małej miejscy w świat szybko, który obiecywał spełnienie najśmielszych marzeń, gdzie wszystko wydawało się możliwe. Wyduł, że pracując ukończy znaną Szkołę Wawelberga i Rotwanda, gwarantującą prestiż społeczny i godziwe zarobki swoim absolwentom. Trzy miesiące spędził w szkole, trzy miesiące tyrał jako pomocnik murarski na budowie, padając na twarz pod ciężarem nosilek z cegłami. Pierwsza wizyta ojca u syna skończyła się zabraniami Mieczysława do domu. „Nie po to cię kształciłem, żebyś wapno mieszał i obluźniany bywał”.

Nie upilnował jednak mistrz stolarski potomka, zaraz potem powrócił on do stolicy: z mocnym postanowieniem zrobienia kariery literackiej. Zrozumiał, że na początek odwiedził „Ziemiańską”, gdzie w blasku Boya, Tuwima oraz Rzymowskiego (właśnie!) grały się kurczęta literacko-dziennikarskie. Równocześnie jednak Luty, natura rzeczowa i praktyczna, zabrał się do konkretnej roboty pisarskiej i... organizacyjnej. Wspólnie z poznanym właśnie Antonim Trepińskim — zmarł w 1972 r. jako redaktor „Stolicy” — uczestniczył w zakładaniu Stowarzyszenia Pisarzy i Poetów Ludowych, a zarazem dużo publikował. Jego artykuły, nowele i wiersze, także satyryczne, zamieszczały „Wici”, „Zielony Sztandar”, „Goniec Nadwiślański”, „Drużyna”, „Mucha”, „Express Humorystyczny”, oraz prasa polonijna. Publikował także w „Twórczości Młodej Polski”, która m. in. dzięki jego staraniom wyodrębniła dział pisarstwa ludowego.

Nadal żył jednak w nędzy, zbieg fatalnych okoliczności nie pozwolił mu na uzyskanie etatu w pewnej redakcji, a niskie honoraria autorskie nie zapewniały utrzymania.

Andrzeja Boboli”: na widok ekranowej procesji widownia padł na kolana, zanosząc się w gorączkowej modlitwie...

A teraz, w Gdyni, w tej samej pozycji drzemie burmistrz Mieczysław Luty, czekając świtu. Zjawił się, dobrotliwy, wyskoczył więc człowiek z samochodu i udaje jakiegoś tam pracownika stoczni. Podchodzi do cywilnego stróża, papierosem częstuje i prosi o kredę, o zwykłą kredę szkolną, którą tenże opiekun placu szybko dostarcza. A Luty wchodzi między samochody i wyraźnie, wielkimi literami pisze na tylnych burtach czterech „jamesów”: Stoczek Łukowski. Pisze tak, jak to zwykła czynić specjalna komisja, którą niedawno podpatrzył przy tej robocie, przydzielająca wozy poszczególnym miastom. Napisał, pobiegł po kierowców, „na bazę, chłopaki”, krzyczy. „Głodni jesteśmy...” Zdenierował się burmistrz i głosem zachrypłym od wiecowania, od przemówień za władzę ludową, powiedział gorzko: „Ja też jestem głodny, no i co z tego?” Poszli. W kantorku kierownika bazy wyklada Luty papiery, wozów się domaga. „Czekajcie w kolejności!”. W jakiej to niby kolejności mają czekać, jeśli ich samochody już stoją na placu?! Wyszedł kierownik na świeże powietrze, oczy przeciera, wprost nie wierzy. „Do Bielska leci jeden, do Radomia dwa, do Krakowa trzy, a do Stoczku cztery samochody piękne z demobilu iść mają?! Papiery mieli w porządku. Wskoczyli za kierownicę, Luty dwa „jamesy” poprowadził, ten z tyłu — na krótkim, sztywnym holu. Uciekli z Gdyni: burmistrz, Bąk i Moreń.

Na drugi dzień zajechali do lakiernika na Rusałce w Lublinie. Wymalował wozy wspaniale, równiutko wyciągnął napis „Zarząd Miejski w Stoczku Łukowskim — Miejska Komunikacja Międzymiastowa”. Wszystko na kredyt, dwudniowe wyżywienie także — chyba z tej radości, że po raz pierwszy po wojnie mistrz lakiernictwa miał okazję rozmawiać się tak szeroko i integralnie. A potem ustawili zdobyć przed Urzędem Wojewódzkim przy ul. Spokojnej 4 (dziś 22 Lipca), uśmiechając się tylko pod wąsem, dla fasonu, choć na widok dziesiątek urzędniczych twarzą, zdumie-



nem zdobiących okna wielkiego gmachu, pękali w środku z wesołości i dumy. Otrzymał burmistrz koncesję na uruchomienie komunikacji międzymiastowej w Stoczku Łukowskim.

W rodzinne strony wrócili nocą, budząc połowę miasteczka. Już na drugi dzień zjawili się w Stoczku starosta powiatowy, Tadeusz Bussel, zapraszając ekipę wraz ze sprzętem do Łukowa. Wizytowali powiat uroczyście, umalwszy samochody zieloną farbą; starosta wydał na ich cześć całkiem przyzwoite przyjęcie. A wokół wozów gromadziły się tłumy, ludzie macali karoserie, sprawdzali opony i plandeki.

Witano burmistrza jak bohatera. Natomiast rok wcześniej, z okazji wizyty jakiegoś ministra w Stoczku, Mieczysław Luty, wspomagany tylko przez stróża miejskiego, sam stawiał bramę powitalną. Po opuszczeniu miasta przez wojska polskie i radzieckie, które w styczniu 1945 roku ruszyły na zachód, ludzie zamknęli się w niepokoju. Kiedy zaś nieco później podziemie rozproszone posterunek MO, Luty jednoosobowo pełnił funkcję władzy ustawodawczej i wykonawczej. Broni nie posiadał, ale kilkakrotnie spoglądał w czarny otwór pistoletowej lufy. Przeżył, rozruszał w końcu mieszkańców, przy pomocy dyrektora Tyneckiego uruchomił gimnazjum, potem założył przedszkole i postarał się o odbudowę domu ludowego. Teraz puszczał na trasę pierwsze autobusy. Jak dawniej — do Warszawy, Łukowa, Siedlec, Mińska Mazowieckiego. Pod stoczkowym znakiem kursowały miały do 1950 roku, kiedy to przejęła je Państwowa Komunikacja Samochodowa.

Nie dawała przecież spokoju burmistrzowi sprawa betoniarni. Przedwojenna „połówka” nie zaspokajała rosnących potrzeb, a poza tym Luty nie lubił prowizorek, cenil sobie rozmach. Jak się rozpedził w zakładaniu terenowych kół Stronnictwa Demokratycznego, to z tego impetu zaczął równocześnie organizować... ruch ludowy. „Aby była różnorodność, aby ujawniały się różne poglądy”. Zaraz też nawiązał współpracę z KP Polskiej Partii Robotniczej w Łukowie. No i z powodu tej betoniarni przedsięwziął kolejną wyprawę, na Ziemię Zachodnią, w poszukiwaniu odpowiedniego sprzętu.

Do Szprotawy na Dolnym Śląsku dotarł nocą. Wiosna 1947 roku — łagodna, ciepła — sprzyjała dalekim wyprawom, w konspiracji przygotowując wielką powódź, która niebawem rozlać się miała po kraju. W takiej to miłej atmosferze siedzi burmistrz przez miasto, aż nagle dech mu zapano. Połapał się, że na kilkukilometrowej trasie nie spotkał żywej duszy, nie zauważył żadnego

światła w jest sam w wieście nie ści zamies wy, kores lecnym l Poznał na Sól i kill wości, aby natrafić n Niestety, a skim Urz uzyskał ze zienie do zdała oso ministra: mistrzu, po kim miast galną zdob okazały się w stoczku ludowym, bowej pos na ogląd wspomnian nieź nie sp gdzie je u Ostatecz przecięz c pokaźnej na prywa miastu p obiekty 22 nującą op jest na ch

W pał czyśław L ku Łukow Lublina, g ceprezyde do tej p Stronnictv zyniera w wiele zas łącza spol Bystrzycę, two, jako konieczno downictwa

Okres l stawa Lut rozdział. V ceprezyde rów budow siedniego p komitetow zmem, uc mitetu do późniejszy był pierws go Przeds wych, któ Fabryki S Był człon mitetu, a SD, posiac gólnie zas Demokrat

Od pewn turze. I od gdzie ludz i serdeczn

conej historykowi Ziemi Zamojskiej, dr. Zygmuntowi Klukowskiemu. Izba wprawdzie jest — lecz zamknięta, podobno gmina nie płaci za opiekę nad nią. Do dnia dzisiejszego mieszkańcy Szczepieszyna i ja również zastanawiamy się, gdzie podziła się eksponaty zbierane całymi latami z przeznaczeniem właśnie do wyeksponowania w Izbie Pamiątek? Podarowali je uczniowie liceum i mieszkańcy Szczepieszyna.

W Szczepieszynie chrząszcz brzmi w trzcinie (tylko!)

Szczepieszyna. Było ich tyle, że zapełniłyby nie tylko Izbę Pamiątek, lecz Muzeum Regionalne, gdyby takie powstało w Szczepieszynie. Podobno wiele z tych eksponatów znalazło swoje miejsce w DESIE i ja w to wierzę, bo gdzie u licha się podziały?

Mieszkańcy Szczepieszyna są znudzeni, znudzeni swoją biernością jak i karmieniem ich występami zespołu artystycznego i tanecznego miejscowego Liceum Ogólnokształcącego, który pokazuje się na estradzie GOK przynajmniej dwadzieścia razy w roku z różnych okazji — z tym, że od przynajmniej trzech lat z tym samym repertuarem, wobec czego uroczystości wyglądają tu mniej więcej tak: otwarcie, referat (długi) i część artystyczna, na której i tak nikt nie zostaje, bo zna już jej początek i koniec na pamięć.

Szczęście, że istnieje w Szczepieszynie „Sielanka”, czyli miejscowy tzw. Texas. Kawiarnia, gdzie można się po odwiedzeniu „Podgrodzia” i „Przystani” utrwalić za kilka złotych, albowiem piwo jest tu daniem firmowym zakładu. To właśnie tutaj koncentruje się życie kulturalne miasteczka, słowem kultura pod piwko. Chętni mogą jeszcze wpaść do kina, ale i tu trzeba mieć trochę szczę-

cia, często bowiem z braku frekwencji odwołuje się seanse filmowe w tej jedynej naprawdę zorganizowanej placówce kulturalnej miasteczka. Wprawdzie repertuar oferuje filmy sprzed lat, ale podobno lepszy wróbel w garści...

Ma jednak i Szczepieszyn placówkę, do której młodzi ludzie w sobotnio-niedzielne wieczory chętnie pędzą pieszo, autobusem, czasem rowerem. Słynne „pustaki” znane są miejscowym bywalcom zabaw, a że oddalone są jedynie o trzy kilometry, w Brodach Małych chętnych na tańce wielu. Pędzony ciekawością miałem „przyjemność” uczestniczyć w jednej z tych imprez. Zostałbym może do końca, gdyby nie wybryk jednego z organizatorów. Chcąc uatrakcyjnić zabawę, młody człowiek wylał wprost na głowy tańczących par wiadro wody, w którym przez pół dnia miał przyjemność plukać kufle po beczkowym „kryształ”. Nic więc dziwnego, że po takich imprezach biesiadnicy bardzo często spotykają się w sali Kolegium Karno-Administracyjnego w Zamościu.

Co więc robić? Wszyscy twierdzą, że najwygodniej oglądać telewizję. Ja jednak jestem innego zdania. Nie oglądać się na to „co inni” i podziwiać, a wziąć się do pracy. Ma Głusk i Końskowola głośne zespoły, może mieć Szczepieszyn. Zdolnych ludzi jest tu wielu, potrzeba trochę inicjatywy. Podpowiem więc jak to zrobić. Jest w Szczepieszynie Terenowy Oddział Samoobrony. Kilkakrotnie jeżdżąc z nim na ćwiczenia, miałem przyjemność słuchać koncertów w wykonaniu ludzi, którzy w tym oddziale są zreszenni. Nie były to koncerty przygotowane, ot — zebrano się wokół ogniska kilku nastu mężczyzn, którzy pod „batutą” znanego w środowisku Ryszarda Polakowskiego śpiewali frontowe pieśni, śpiewali w dodatku na trzy głosy. Czy nie można więc zatrudnić instruktora, by ludzi tych przygotować? Miałby Szczepieszyn swój męski chór. Przykładów takich można podać więcej.

Czas skończyć z narzekaniem i wziąć się wreszcie do twórczej pracy, czas skończyć z „pustakami”, pijaństwem i „Texasem”, a pomyśleć o tworzeniu nowej kultury miasta. Czas skończyć z imprezami, jakie od czasu do czasu organizuje się w mieście. Mam tu na myśli imprezę zorganizowaną 5 października br. przez Bank SOP w Szczepieszynie i lubelską Estradą, podczas której jedyny przedstawiciel Banku na tej imprezie wręczał nagrody na estradzie w płaszczu ortalionowym, a konferansjer Estrady stwierdził: „Komputer do liczenia głosów pożyczyl mi kucharkom do gotowania kumpotu”.

Polecamy więc te sprawy, kultury gminnej, miejscowym władzom. Pomóżcie tym, którzy chcą pracować dla miasta i ruszcie z miejsca tych, którzy za „robienie kultury w Szczepieszynie” biorą pieniądze. Chętnie pomogę!

Marian Zacharczuk

rażenie, że
ie, co oczy-
rzywisto-
o Szprot-
ie z spo-
tego czasu.
owo, Nową
h miejsc-
eloną Górą
e maszyny.
e wrocław-
dzkim nie
h przewie-
nie też się
Lutego u
watu bur-
ede wszyst-
dyną i le-
j wyprawy
ulokowane
m i domu
kunek de-
dziś moż-
pokojach
nina rów-
stoją tam,
947 roku.
oprowadził
ia całkiem
wiając halę
podarowanej
Otwarcie
niało impo-
isją także

Grupa działaczy SD. Zdjęcie z okazji 30-lecia Deklaracji SD. Pierwszy z lewej Mieczysław Luty.

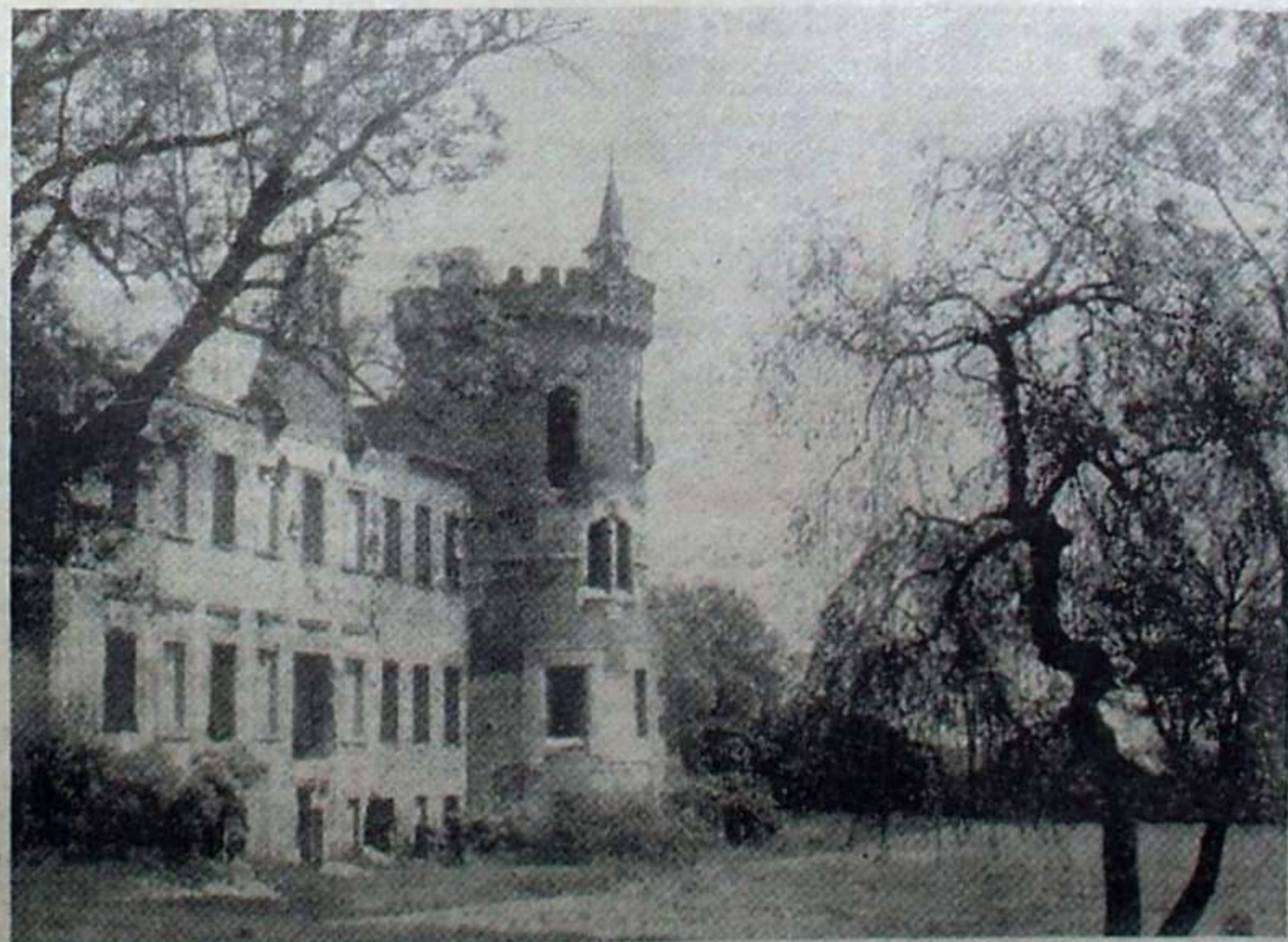
Fot. S.D.

Marian Janusz Kawałko

JAK PISZĘ WIERSZ

w mojej czaszce — dusznej bibliotece
gdzie porządek bywa nieopisany
gdzie w równych rzędach dojrzewają

kulinaria reguły wielkich liczb symfonia prze-
znaczenia kamienne tablice kręgi na
wodzie małżeństwa doskonale historia wina
chleba i literatury
chciałbym ustawić gilotyny jedna obok drugiej
uciąć głowy wczorajszym prawdom
rozbić na dnie oczu szkła jutrzeńne
lecz bezsilny znoszę tylko obce księgi
w nieladzie rozrzucam je pod czaszką
depczę
i wbijam nóż w nie zapisaną kartę
wiersza



Jesień w Jakobowickim parku.

Fot. S. Kosior

Krzysztof Gołębiowski KOMUNIKAT

Jak podaje Ministerstwo Poezji w dniu
wczorajszym jednostki metaforyczne
dwudziestą pierwszą zwrotki
im, Konstruktynego wiersza nawiązały
kontakt bojowy pod Strofami z licznym
ugrupowaniem teoretyków
Po długiej i dusznej bitwie
wycofano się na z góry upatrzone pozycje
wydawnicze i podpisano umowę
dwo-pokojową

CHO' NO' TU!

Pomierzyłam...
Metr najlepsza miara zadumania
i połamały się strofy ofy
ofy ofi oficjalny komunikat
doczołgał się zbyt późno.

Nie o to przecież
ścieramy kilka metrów najprzedniejszego
wiersza z mączką móżdżaną
żeby mi spod krzyża wychodziły WASZE
frazesy.

Pocaluj
i tak nie zmienisz Sensu
pięciu metrów bieżących wiersza
i tak:

wyżej

i

wyżej

ciagle

I tak: ciagle będę dużą panną
na wydaniu

PRZYTOCYLIŚMY uprzednio poemat Szymonowicza „Hercules prodiceus” napisany z okazji rozpoczęcia przez Tomasza Zamoyskiego, systematycznej nauki. Nie był to jedyny utwór Szymonowicza poświęcony hetmanowicowi. Jeszcze trzy razy Szymonowicz wręcał poezję w wychowanie Tomaszowi.

W odzie „Thoma! tu quidem nunc” a wydanej w 1602 r., nakazywał sześciolatniemu chłopcu:

Tomaszu, ty wolny od smutku, matki jedyna rozkosz, pieścisz się jeszcze latogodnym życia powiewem, a tymczasem twój ojciec w obronie ojczyzny nadstawia niewyciężone pierś. Więc ucz się już teraz okazywać godnym takiego ojca, nad którego i bogów potomek nie byłby znakomitszym. Chociaż nie brak ci przodków niemal od założenia państwa polskiego, to przecież rodzic twój ponad nich wszystkich tak wysoko wystąpił, że można by wierzyc, iż on dopiero dał początek sławnemu rodowi. W słody jego wstępuj zatem!

Do ambicji swego wychowanka apelował również w odzie z 1605 r.:

Boski potomku Zamoyskiego, zrodzony do spraw ważnych i niezwykłych! Jeszcze nawet księżyc dziesięć razy nie okrążył ziemi, gdy już po dziesięćkroć Tatarzy Podole spustoszyli, wpadłszy jak wilk do owczarni, pozbawionej pasterza. O wstydzie, o hańbie narodu! Gdzie się zatracilo niewyciężone męstwo Polaków? Czy skryło się razem z Zamoyskim

styczniu 1610 r. z okazji zalotów adresata do panny Romanowskiej. Wiersz ten poeta traktuje jako pochwałę rodu Zamoyskich, zwłaszcza swego wychowanka.

Podobnie rzecz się miała z elegią „Jacobus Sobescio, Marci, palatini Lublinensis, filio”, wydaną w Zamościu w 1613 r. Witaił nią Szymonowicz powracającego z peregrinacji zagranicznych kolegę z lat szkolnych Tomasza Zamoyskiego, wojewodzica lubelskiego Jakuba Sobieskiego. W rzeczywistości elegia „Jacobus Sobescio” była pochwałą hetmanowicą:

Powrócił do niej ojczystych Sobieski, przedmiot niewzruszonej miłości młodego Zamoyskiego, który rodzono brata, gdyby mu go losy udzieliły, nie witalby z większą radością. Rządzą przyjaźń między nimi wyprzedzały Muzy w świątym przybytkach, wyhodowała wspólność obyczajów, zasiadł rodzice. O młodzieńcy!... was niechaj czyni rodziców, niech piękne imię uniesie na skrzydłach. Wam wychowanie samo każę skłonić umysł ku wielkim przedsięwzięciom. Tego żąda od was ojczyzna, zewsząd niebezpieczeństwa zagrożona. Czyż nie widzącie gromadzących się chmury? Nie widzącie, jak wzburchone fale grozą pochłonięciem łodzi, jak wiosła i żagle już oprzeć się nie mogą i żądają od wszystkich ostatniego wysiłku? Patrzcie, jak wszyscy oczy zwracają na was, jak wrożą sobie, że wyrównacie ojcom, przywrócić spokój ojczyźnie i nie dozwolicie ukrzywdzić dobrych, ani zewnętrznyemu, ani wewnętrznemu wrogowi. Idź-

Niechaj bym ja był Arystotelesem (II)

w jednym grobowcu? Wielki ojciec ojczyzny! Czy mam powiedzieć, że wszystko razem z tobą zeszło do grobu? Czy raczej ty słów takich zakazujesz i pragniesz gorąco, aby wyrosło świeże, godne ciebie mężów pokolenie, aby w nim na kształt gwiazdy zabłysnął twój syn jedyny i czynami ojcu wyrównał.

Natomiast w odzie z 1612 r. dawał poeta ostatnie upomnienia swemu dostojnemu wychowankowi, który uzyskawszy pełnoletność, wkroczył na drogę samodzielnego działania. Stwierdzał:

Troskliwie niegdyś wychowywano Herkulesa, który bał się i szanował Linosa, głównego swego wychowawcę... A kiedy urosł, wtedy zapalał chęcią sławy, jak rumak szlachetny, gdy u łobu posłyszysz głos trąby wojennej. Wtedy Linos pełen niepokoju, pełen i nadziei w te słowa odezwał się do wychowanka. Jakim się z początku okażesz, takim osądzicie ciebie potomstwo. Miej oczy na wszystko otwarte, bądź własnym sobie stróżem, byś nie uczynił nigdy nic takiego, co by cię w pogardę ludzką podać mogło. Dopóki nasz zastęp strzegł twego boku, nigdy ci na wiernym doradcy nie zbywało. Teraz nawa twoja dąży na morze, gdzie fale, burze i skały podwodne ciebie oczekują, gdzie wichry w to tę, to w ową popchną cię stronę. Największą jednak Scyllą i Charybdą jest dla ludzi rozkosz źle użyta. Ta gdy jadem ciebie dotknę, nieznanym nikomu spłamiż wielki swój bezczynnością haniebną, będziesz żył jak niewolnik i ani imię, ani tytuły nie uwolnią ciebie od hańby. Również unikaj pochlebców, którymi brydził się prawda świata i cnota prawdziwa. Oni przynoszą z sobą zbytek nieposkromiony, oni prowadzą dom do niechybnej ruiny. Nie przeceniaj także sił swoich i nie uoś się zbyt zarozumiałością... Bogowie tylko mogą się obyć bez niczyjej pomocy, człowiek jej zawsze potrzebuje... Widzę cię już w myśli pogromcą dzikich zwierząt, zwiastunem pokoju i dni błogich dla świata. Oby jeszcze tak długo starczyło mi sedziwego wstęku, zebym mógł ci moje nasycić sławą czynów twoich. Wtedy zeszedłbym wesoło i spokojnie do grobu. Takie Linos przestrogi dawał Herkulesowi wśród łez i wzajemnych uścisków. Oby i mnie czekała podobna starość! Oby i ja umierał nasycony twojej sławy widokiem.

„Hercules prodiceus” i ody do Tomaszowi były utworami, które poeta bezpośrednio poświęcił swemu wychowankowi. Ale i w innych osoba hetmanowicę odgrywała istotną rolę. Myślę tu przede wszystkim o wierszu „Do Waclawa Zamoyskiego” i łacińskiej elegii „Jacobus Sobescio, Marci, palatini Lublinensis, filio”.

Wiersz „Do Waclawa Zamoyskiego”, krewniaka Tomaszowi, powstał w

cie więc naprzód, do wielkich czynów. Ty synu Zamoyskiego prowadź pierwszy. Ciebie znał już Turcy i Tatarzy, ciebie już pokryła strzał gęstych ulewa, i nie uciekłeś, choć wrog przeważał liczbą; owszem on sam pierchnął w szalonej ucieczce. A więc rozpocznaj pod imieniem ojcowskiego auspiciami; na pomoc przybędzie ci Sobieski. Tak, Kastera osłaniał niegdyś Polux, tak Tezeusa Piritous.

Z uzyskaniem w 1612 r. przez Tomasza Zamoyskiego pełnoletności zamykała się w życiu Szymonowicza ważna karta — dziewiętnaście lat trwających usług dla Zamoyskich. Jednocześnie otwierał się nowy, zupełnie odmienny okres jego życia — „otium domesticum”, zasłużony odpoczynek po pracach i trudach. Nie oznaczało to oczywiście, że Szymonowicz zerwał całkowicie z dworem zamojskim i przestał służyć radami swemu dawnemu wychowankowi.

W liście z 1613 r. na przykład udzielał poeta rad i wskazówek młodemu Zamoyskiemu co do jego służby wojskowej i obywatelskiej, orientując go zarazem w ówczesnej polityce polskiej i zamieszkach krajowych.

Patrząc na burzę tych czasów, która w dobre obrócić się koniecznie nie może, ale albo nas do zguby, albo do odmiany, albo do krwi domowej, albo do wszystkiego tego razem popędzi, rozumiem, iż potrzeba nie tylko ciężarów i obowiązków żadnych na się nie brać, ale owszem we wszystkim jako najspokojniej się użyć, i w takim kroku stać, z którego by na każdą stronę powrota być mogła. Wziąwszy na się jarzmo militaris sacramenti (służby wojennej), już by tam się tylko iść musiało, gdzie by powinność tamta ukazywała, i tak pisać jak by ci zagrali, których władza będzie. A ja więc te czasy tak sądzę, że nie wiem, aby kiedy trudniejsze rozmyślanie na wiek w Mści przypaść miało, co i kiedy uczynić, jako teraz. Domu-li oganiać? czyli się na Ukrainę uchylić? czyli się ad partes (ze stronictwami) wiazać? czyli stać na stronie? I innych okoliczności do uwazania i upatrowania każda godzina wiele napędzi w takowym zamieszaniu... Acz to zło w ojczyźnie jawnie się już zapaliło, ale ja rozumiem, że jeszcze chwilę jako potle, nim do góry wybuchnie. Zdaloby mi się tedy, abyś WMś jako najpilniej intra modulum privati civis (teraz prywatnym obywatelom) się określił, a w gotowości się wszelaką przysposobił i na wszystkie strony oko ostre miał, gdzie ten potwór pójdzie i jako mu zabięć będą; przaz się nie wystylając, i owszem na ostatni raz chowając się... W jarzynie tamtych już by się to nie zeszło; jedno ciągnąć gdzie rozkażą i zaprzęga... Wolnym, wolnym i gotowym tedy potrzeba być na wszystko.

Kamena str. 10

Adam Andrzej Witusik

Baron Münchhausen

w okupowanym Lublinie

Zygmunt Mikulski

WACŁAW Gralewski był tropicielem niezwykłości. Tak gorącym, że tam, gdzie rzeczywistość okazała się mało domyślna i niezwykłości nie wytworzyła, wyręczał ją sam. A czynił to z takim zaangażowaniem zwolennika prawdy i tylko prawdy, z taką skrupulatnością trzeźwo myślącego intelektualisty, że jego rozmówca nie zauważał jak — rzecz najbardziej uparta — fakty przestawały być sprawdzianem wiarygodności fabul, a układały się w zespół ornamentów ozdabiających swobodnie i dorodne, zalotne i polotne „konceptcje”.

I kiedy tu odpowiemy „no cóż, gawędziarz” stanie przed nami druga postać dawnego lubelskiego świata — Konrad Bielski. Ten usiadłszy przy kieliszku w gronie chętnych kompanów, także nadmiernie rzeczywistością się nie krepował. Istnieje jednak zasadnicza różnica. Bo nie krepując się, nie wchodził z nią w konflikt. Z lekka ją tylko podbarwiał, co nie odwraca proporcji zjawisk i nie odbiera im autentyzmu, jak użycie szminki nie zastępuje kobiecej urody. Z warsztatu zaś Gralewskiego nie zesła żadna dykteryjka, jeśli nie przenicowała faktów, nie przypisała zjawiskom obcych im napięć, nie zmieniała żółtego w fioletowe. Prokrust autentyku — w tym był maestro Waclaw.

Laskawy Czytelniku, dlaczego robisz okrągłe oczy? Wiem, że o umarłych albo nie, albo dobrze. Ale po pierwsze: nie co innego powiedziałbym — gdyby żył — samemu Gralewskiemu, po drugie: wcale mu nie mam tego za złe, (może lepiej — nie miałbym, do czego jest potrzebny pewien warunek, o czym później). Lublin, to wojewódzkie miasteczko, jakim był 50 lat temu, wytworzył potrzebę pewnej mitologizacji. Dlaczego np. „Sklepy cynamonowe” powstały w Drohobyczu, a „Wspólny pokój” w Warszawie? Bo małe miasteczko sprzyja nastrojom emocjonalnym, poetyckim, refleksyjnym itp., natomiast duże środowisko nakierunkowuje uwagę na stosunki międzyludzkie wymaga spojrzenia realistycznego. W Lublinie nie wystarczył nagły tekst. Ten adekwatnie obejmując pewien zakres rzeczywistości zawsze okazywał się nieadekwatny w stosunku do spodziewań, stąd szarżyżne realii należało kompensować barwnością przekazu. Przesada należała do intelektualnego dobrego tonu. Była wyrazem umiejętności obcowania z ludźmi, przejawem umysłowej elegancji. Rozmówcę trzeba było czymś zająć. Jeśli nie faktami, to sposobem ich podania.

Tak więc w latach dwudziestych, trzydziestych i jeszcze późniejszych w oparciu o swoisty społeczny typ kulturalnego współżycia wytworzył się styl gawędziarskiej egzageracji tak nieodzowny i tak zrozumiały w świecie kawiar-nianych sjęst, prywatnych herbatek i amatorskich konwentykli. Gralewski pozostał mu wierny do końca. Może nawet nasilając tę wierność z upływem lat, jakby wiedząc, że coraz bardziej zostaje ostatnim Mohikaninem ubiegłej epoki. Rzeczywiście — flu odeszło... Nie mówmy już o Zalewskim, Araszkiewicz, Bielskim, Jaworskim. Bo nawet Miernowski, ten drugi, Stanisław, mniej od wcześniej zmarłego Kazimierza zrosnięty z „reflektorzystami”. Potrzeba było sprawować wartość pamięci nad cieniami przeszłości — już tylko jednemu.

Co nie oznacza, że Gralewski od początku nie miał żyłki, żyły, ścięgna, bicepsa przesady we wszystkich opowieściach, jakie wyszły od niego jako narratora. W tej dziedzinie uprawiał prawdziwą kulturystykę. Jeśli się poskarzył na żołądek, usłyszałeś, że on już miał arsenał noży w brzuchu, a wyleczyła go z tego szklanka kwasu siarkowego wypita przypadkowo jako napój orzeźwiający. Nie przepuścił żadnej okazji. Każda stawała się odskocznią w czwarty, piąty, dowolny wreszcie wymiar — niezależnie od te-

matu, jakiego rozmowa dotyczyła. Mogła dotyczyć składek członkowskich, przedsięwzięć organizacyjnych w wydziale wojewódzkim. Wnet osoby znane z imienia, nazwiska i bardzo konkretnego pola działania stawały się mediami przynoszącymi niepojętność z przepelnionego niesamowitością wszechświata. Przy tym wszystkim jakimże sam był formalistą. Niemal biurokrata.

Osobliście lubię ten sposób obcowania z rzeczywistością. Oswaja on ją, czyni przystępną, pozornie tylko demonizuje, w gruncie rzeczy obłaskawia i sprawdza przed ciepły kominek. Zawsze woła, kiedy mi o niebezpieczeństwach opowiada Tartaren z Taraskonu, Papkin, albo Zagłoba, Kiedy niebezpieczeństwo jest większe w słowie. Bo wtedy jest mniejsze w rzeczywistości. Tak więc i Gralewskiemu nie mam nic do zarzucenia, jeśli tylko uprawia to swoje intelektualne wolnomularstwo. Nie mogą natomiast przyjąć go tam, gdzie wymyślone przez siebie powiatki chrzel mianem relacji autentycznych, gdzie przymrużone filuternie oko ustępuje masce śmiertelnej powagi. Świetnie znoszę Gralewskiego-gawędziarza, nie dam się zwieść Gralewskiemu-„documentalisci”.

Wyszła pośmiertnie jego książka „Bieg po krawędzi” (zawierająca kilkadziesiąt opowiadań i jeden szkic polemiczno-historyczny. Ten ostatni mieści się w całości jak przysłowiowy Piłat w Składzie Apostolskim, ale nie-spójność koncepcji jest tu drobnym uchybieniem wobec treści, jaką zawiera książka. Książka poświęcona czasom okupacji w Lublinie. Przedstawiająca wypadki istniejące wyłącznie w imagi-nacyjnym świecie autora. Nie zmienia tej oceny na przykład fakt, że dziesięciu zakładników rzeczywistości zostało rozstrzelanych w wigilię Bożego Narodzenia 1939 roku, że na przykład zastępca szefa gestapo rzeczywistości nazywa się Fischotter, że... w latach 1939-44 nasze miasto rzeczywistości przeżywało niemiecką okupację. Reszta jest zmyśleniem.

Weźmy opowiadanie „Szalony furgon”. Czy tak mało jest w Polsce ludzi, którzy pamiętają co to był obóz koncentracyjny? Tymczasem popatrzymy jak to wygląda u Gralewskiego. Istnieje pewna kobieta, która z ramienia RGO (Rada Główna Opiękuńcza — organizacja polska typu PCK), a z przyzwolenia władz niemieckich zajmując się dowożeniem chleba więźniom Majdanka. W jednym z więźniów się zakochuje i postanawia go wykraść. Właścicie bardziej na miejscu byłoby tu uczucie litości, aniżeli miłości, jako że więzień kacetu siłą rzeczy nie może stanowić obiektu tej drugiej, w dodatku przez druty, ale dalej zobaczymy wypadki, przy których przytoczona okoliczność blednie. Kobieta bierze więźnia na furgon i ukrywa pod plandeką. W bramie jest kontrolowana często, więc tym razem wartownik macha ręką. Może jechać. Niestety, nadbiega SS-man i chce przeprowadzić rewizję. Co robi kobieta. Uderza go batem. Wprawdzie SS-man trzymał w dłoni pistolet, ale pojedynek między batem a pistoletem wygrywa narzędzie do poganiania konia. SS-man... pada zalany krwią.

Co dalej? Oczywiście znajdujący się o kilka kroków wartownik nie rozstrzyga sceny serią ze schmeisera, natomiast cała załoga obozu popada w stan dezorientacji. Co? Kto? Jak? Nie wiadomo. Przecież oni nie na to są nastawieni, oni tu istnieją w charakterze czwartych do brydza. Ruszyła wreszcie pogoń, ale kiedy. Najpierw furgon miał czas przebieć kilkaset metrów drogi do szosy, co mu wcale ułatwił autor zapominając o drugiej linii drutów. Później zalanego krwią SS-mana trzeba było cucić wodą, bo inaczej nie było wiadomo „co się stało”. „Znow upłynął pewien czas”, bo SS to znane niedorajdy. Więc kiedy ruszyły te „motocykle z przyczepami i specjalny wóz ciężarowy

* Waclaw Gralewski: „Bieg po krawędzi”. Wydawnictwo Lubelskie, 1974, str. 210 cena 25 zł.

Dokończenie na str. 13

1. SIERYF

PO LEKCJACH poszliśmy na kierata. Kierat — to znaczy Skwer Wolności — wrzał z powodu tłoku i gorąca. Po goda miód z bobrem — w sam raz. Z tego kieratowania sieczki nie było, co najwyższe w naszych pustych czerepach — jak zwykle mawia sam profesor Kawon. Ot, położyło się troszku dookoła skweru, pokieratowało w blasku dziewczęcych ślipaków i słoneczka. Radocha.

W pierwszym oknie księgarni tkwiły kolorowe gęby książek, przyczajone nieruchomo za szkłem. Okładki żaloznie powłaziły na słońcu w blasku wystawy jak brutalnie zdarte maski, pod których jaskrawością kryła się pustka, a dalsze losy książki, po wylusowaniu przez dłoń ekspedientki z barwnego garnituru obwolowały — nie były znane, przynajmniej nam. Kto to czyta, ciekawe kto, kartki ślini, płacze z radości lub wstępu do lektury, jak my. Ale nasza klasa konkursu czytelnicy wygrała i na wycieczkę pojedzie. I to za ściśle naszą zasługą, a jakie. Ja, Chaja i Zdzichu braliśmy po dwie sztuki dziennie. Ciężkie były, książki zawsze dużo waży, tośmy je pod katedrę wkładali i na drugi dzień wymieniali na inne. Robota szła na akord i krzywa rosła — jak mawia mój tato. A na wycieczkę pojedziemy we wrześniu. Tak myśląc i gadając staliśmy przed księgarnią.

Księgarnia miała dwa okna. To drugie było ciekawsze — Wojnicki zęby białe szczyrzył, cały garnitur. Przybylska wino czerwone piła z kielicha ogromnego i ktoś coś tam na barwnej kopercie, ale nie zdążyliśmy obejrzeć, bo stanął Sieryf — cwaniaczek i szybę zastonił.

Wycofaliśmy się taktownie, bo z Sieryfem nie ma żartów, jak zły. Wyjmuję wtedy spod pachy metalową kulę i hej po nogach naszych gra aż skakać trzeba. A Sieryf uśmiecha się po swojemu cicho, zimnawo i woła przez zęby: „Albo pięta albo kozaka, albo piątaka albo kozaka...”, a pięć złotych dostanie. A śmieje się, aż mu jedna noga trzydziestoletnia podskakuje z ukontentowania. Sieryf to wielka tajemnica nasza nieodgodniona, ciemny typ. Nie wiadomo, skąd się tu wziął.

Podobno tej nogi wcale w powstaniu warszawskim nie stracił, ale pod tramwaj wpadł po pijaku. Zna go całe miasto, nawet te siksy z internetu, którym niekiedy czystość cielesną wieczorem kontroluje, nogi czy dokładnie wymyte sprawdza delikatnie, gdy stara Pajęczyca wrzeszcze na kolację potrucho. A takim zwyczajnym chuliganem to on nie jest. Sieryf — cwaniaczek nie jest wcale chuligańskim ciemniakiem. W tym roku znaczną maturę zdaje i nawet kiedyś nagrodę zdobył w zgadul-zgaduli o lotnictwie, a cała sala skandowała wtedy — bo to było w naszym miasteczku — sie-ryf!, sie-ryf!, a on kulą potrząsnął, jakby witał tłumy.

Stoi więc Sieryf przed drugim oknem księgarni i smutnym wzrokiem nas jakby za kołnierza potrzasa. Włosy ma faliste, do ramion, niski taki skulony, na kulach metalowych wisł i patrzy przed siebie szklisto. Pogoda ładna, gorąca. Zdzichu postawił po oranżadzie w owocarni. Wesoło było, bo jak odejmowaliśmy butelki od ust, żeby odsapnąć, to tak cwyrkało i cmokało, aż się baby w kolejce oglądały.

Mieliśmy obkrocić jeszcze jednego kierata i wracać do domu odrabiać tę cholerną matkę na jutro, kiedy Chaja krzyknął:

— Chłopaki, coś się stało! — i machnął ręką w kierunku obrapanego budynku poczty, przed którym tworzyło się już zbiegowisko. Przy krawężniku lśnił ogromny czerwony „ford” z zagraniczną rejestracją. Szeroki, wspaniały, aż dech zapiera, a lakier jak lustro!

— Ale gablot, prawdziwy krążownik szos! — syknął Zdzichu, zaglądając do środka.

— Ty, widziałeś kiedy taki wóz? — Raz jedyny, jak do Włodka Jokala wujek z Kanady przyjechał. Podobny niby, ale inny kolor, fantastyczna sprawa! — wyszeptał z nabożeństwem Chaja.

Henryk Makarski

Syrena fabryczna wygwizdała fajrant. Robociarze w wyszmercowanych waciakach zsiadali ze zgrzytających rowerów, nachylali się urzędnicy w krawatach, nawet zegarmistrz pan Bronceczek, zamknął zakład i zamiast pójść, jak co dzień, na kielicha do „Ludowej”, przyczepał i z zyczliwym uśmiechem drapał się po czerwonej tytusie. Przybiegło kilka pulchnych ekspedientek chichocząc demonstracyjnie i strzelając ślepakami na bok — ale wspaniały błyszczący „ford” stał nadal pusty w środku, sam. Trzech szczeniaków w patrokowych kapciółkach huśtało się na rozłożystym bałaganiku, który miękko falował dół — góra — dół.

Nagle odskoczyli, jak oparzeni. Z tłumu wyszedł ryławny grubas w krótkich spodenkach z tropiku. Położył owłosioną łapę na nikiłowanej klamce wozu i spod słonecznych okularów w rogowej oprawie przyglądał się speszonym pętkom. Pot spływał mu po łustej twarzy, którą wkrótce rozjaśnił uprzejmy uśmiech. Uśmiechał się do chłopaków, a ci już zupełnie zbaranieli. Rudy grubas sięgnął leniwie do kieszeni, wyjął kilka monet i zachęcającym gestem podsunął otwartą dłoń. Chłopcy wahali się przez chwilę, a potem niemal równocześnie wyciągnęli ręce tak gwałtownie, że monety spadły na bruk. Runęli na ziemię, tarzając się po kocich łbach w klebach kurzu. Okładali się przy tym pięściami, gdzie popadło. Faceci gapili się z zadowoleniem, ludzie z boku zagrzewali do walki:

— W dychawę go!

— Pokaż mu klasę — a ekspedientki piszczały z ucieczki. Rudas rzucał do góry drobniaki, które spadały na rozpalonych chłopców, jak krople oliwy.

Sieryf stał z boku, oparty o drzewo. Cała ta impreza budziła w nim zainteresowanie, bo patrzył z uśmiechem i kiwał głową. Jeden z szarpiących się miał już rozkwazony nos. Krople krwi kapły na bruk. Zaczęła mnie wkurzać ta corrida.

— Chaja! — mówię — trzeba rozwalić ten cyrk, bo dostanę młodzi,

— No! — potwierdził Zdzichu, a Chaja zatoczył rękawy. Nie obdarzyła nas bozia nadzwyczajną krzepaką, ale ktoś musiał to zrobić. Z takimi sikunami nie problem, trzech na trzech. Weszliśmy na arenę szybko, żeby szlag nas do końca nie trafiał. Każdy złapał swego za kudły i w dziób dla otrzeźwienia, i w dziób. A potem kopa na zapęd i po krzyku. Uciekali z placem.

— Sukinsyny! — krzyknął nagle Sieryf, aż się jeden z tych otroków potknął w ucieczce, oglądając za siebie.

— Sukinsyny!! — powtórzył jeszcze głośnie, aż ekspedientki na trtuarze ucichły, a waciaki, kombinżony, garnitury i dżinsy wymieszały się ze zdziwienia i tylko rozdzielione gęby zdumione spływały potem.

Rudy cudzoziemiec — rozrzucający pieniądze na przynętę — zapewne nie rozumiał ani słowa po polsku, ale chyba coś wyczuł, bo czym prędzej wsiadł do wozu.

Sieryf wpatrywał się w kępe krzewów na skwerku i nerwowo stukał kulą w płytę chodnika. Za krzakami stał wysoki dzentelmen w lnianym garniturze, strzyżony na jeża. W rękę trzymał filmową kamerę. Grymas uśmiechu zastąpił mu na charakterystycznej końskiej szczęce, ponieważ zainteresowanie tłumem skupiło się teraz na jego osobie, dotychczas ukrytej w cieniu. Dryblas szybko schował kamerę i pospiesznie wsiadł do „forda”. Odjechali.

— Sukinsyny, sukinsyny! — powtarzał Sieryf, klnąc pod nosem. Tłum gęstniał. Krzyżowały się pytania:

— Co się stało?

— Wypadek, a trupy są?

— Co jest ludzie, co się stało?

Właściwie nic się nie stało. NIĆ. Na bruku zostały plamki krwi, dwie zagraniczne monety i smród samochodowych spalin. Na trotuarze przewracały się puste papierki po lodach i cukierkach. Poszliśmy na obiad, rozmyślając nad zbliżającym się egzaminem dojrzałości.

— Ty, a może Sieryf do nas pił? — zaniepokoiłem się po drodze.

— E tam, głupi jeste! — ofuknął mnie Zdzichu — jakie my sukinsyny!

— To kogo on miał na myśli? — bąknął Chaja, patrząc pod nogi.

2. KIERAT

WKILKA dni po drace z cudzoziemcami poszliśmy znowu na kierata. Szczególnie mówiąc, wolałbym uniknąć spotkania z kulawym Sieryfem, który okazał się w grucie rzeczy zwyczajną świnią i donosicielem, czyli szuja, po naszymu mówiąc, myśląc i patrząc. Nazajutrz po tej głupiej historii zostaliśmy wezwani do Bunia, to znaczy dyrektora liceum. Na nasz widok poczerwieniał, okulary drgnęły mu na nosie i ozwał się w te słowa do Zdziska, stojącego z brzegu:

— Chłopcze! Chłopcze! Jak się kopnę, to w powietrze z głodu zdechniesz! Wynoście się!

Zrozumieliśmy, o co chodzi i na tym się skończyło. Nasz dyro miał swoje metody wychowawcze, ale chłop poczciwy był i sprawiedliwy, jak trzeba. Tak jakoś nam głupawo po tym wszystkim, ale, palicho, minęło.

A dzisiaj, aby Sieryfa nie spotkać... Jeszcze do matury dwa miesiące, potaż się dookoła kierata, na wystawy pogapić się, na gęby strasznych mieszczan, drepających w kółko z siałkami na zakupy. Dwa miesiące to wprawdzie nieprzeżyta dzungla, ale jednak, bądź co bądź, odgradza nas od czegoś nieprzyjemnego, straszego, tajemniczego w zdradliwej mgle tradycyjnego optymizmu. Można więc było polazić jeszcze dookoła bestrosko. Wszystko takie przygarbione i brudne, a my ponad. Zdzichu krzyczy:

— Patrzenie, orzeł skrzydłami macha!

Pośrodku Skweru Wolności drzenie na postumentach stary orzeł, zakurzony od czekania. Oczywiście, to jest rzeźba i Zdzichu dostał w kark za idiotyczną odzywkę do starszych.

O pół roku tylko młodszy, ale w historii cywilizacji nawet godziny miały znaczenie. Jeden z mieszczuchów, zachwycony „Odą do młodości”, jeszcze przed wojną wznosił ten symbol miekiewiczowskiego prorocstwa. Orzeł skrzydeł nie rozwinął, a w ogóle to podobny jest do czarnej wrony, kraczącej za uszami. Mają ci ludzie pomysły, mają!

Po drugiej stronie skweru stoi na piedestale miejscowy bohater, jakiś tam bohater, nawet jego roli dziejowej nie pamiętam, zapomniałem nazwiska. Bohater odwraca głowę od środka placu, trzymając ręce skromnie spuszczone i złączone w dłoniach. I nikt nawet zielonego pojęcia nie ma, dlaczego on tak stoi. A my wiemy, skąd ta poza i codziennie kieratując obok spoglądamy na niego i śmiech nas ogarnia pusty. Stoi ta kamienna sirota i głowę odwraca od starego kibla, bo śmierdzi. No a ręce, ręce splótł kurczowo i czeka, bo nowy kibel jeszcze nie wybudowany.

Tak było przedtem. A dziś bohater już jakgdyby dłoń rozluźnił. Ale nie dlatego bynajmniej, że na cokole kaluza zalśniła, bo kaluza ta z deszczu niebieskiego. Oto bowiem w samym środku skweru (sprawdziłszy krokami) wstydliwie pada się pod ziemię szalet miejski i powiatowy — praca dyplomowa Rysia Gałązki z Wólki, który jest szwagrem Chajowy.

— Chodźcie obejrzeć! — woła z dumą Chaja, jakby on ten kibel budował własnymi rękami. Solidny jak bunkier atomowy ukryty w ziemi ten obiekt, gromadził od roku westchnienia pospieszne i wszelkie tęsknoty w szczęście wyzwolonej fizjologii, w świat znamię odrębności człowieczej.

Po wielokroć zagłębialiśmy się już w jego eleganckie wnętrze, podziwiając prawdziwie pański blask, lustra i dystygowaną uprzejmość starszej siu-ardesy, urzędującej na zmianę z kaprawym dziadkiem kal-bojem.

Do szczania trzeba się było ustawiać według wzrostu, bo pisuury zwisły w przekroju socjologicznym. Najbardziej poszkodowany byłem ja z powodu niewielkiego odrostu od matki ziemi, bo musiałem stać najdalej od świeżego powietrza otwartych drzwi. Wyszliśmy spod ziemi jak nowo narodzeni. Obok rosły lipy i psiułaka fontanna, w której można się było nawet nieźle wykapać z powodu brudów w rzece Krznie. Wokół skwerku wócił szeroki trotuar, na którym kokietyliwy plisk licealistek mieszał się z przekleństwami. I tak laziliśmy aż lydki pęczniały od tego terkotania, chrobotania i dygotania po kamiennych płytach chodnika.

— Stuk, stuk — stuk — dzyńdzilo coś o kocie ły. Znużona szkapa ospale ciągnęła karawan. Zarozniony karawaniarz pan Walerek drzemiał na kocu. Ślina wyciekła mu z kącików ust i fruwała jak babcie lato, a obwisły bezwładnie bat łaskotał kobylę w zadek. Bydlę znało swoje pogrzebowe powinności bez prynuki. Horypna od kilkunastu lat targała tą samą trasą swój smutny ekwipaż z nieboszczykiem na dole i drzemącym pijaczyną Walerkiem na górze. Stara chabeta włókła się dostojnie, jakaś kobieta w czarnym welonie pochlipywała za karawanem, podtrzymywana w marszu przez dwóch chłopaków w naszym wieku. Za nią kilkanaście osób smutnych rozmaitości, na końcu dwie baby plotkowały ukradkiem. Ot, zwyczajny pogrzeb, fragment codziennego pejzażu naszego miasteczka, normalna

rzecz. Mało kto nawet popatrzył z trotuaru, zatrzymał wzrok dłużej.

— Popatrzcie chłopaki, znowu gwiazda zgasał! — powiedział półgłosem Chaja.

Zadarliśmy głowy: Rysiu — konus, Zdzichu — hany i ja. Jeliśmy się przymerzać. Oczywiście, że nie do wrót niebieskich panagabrylelowych, lecz do tej gwiazdy, co zgasa. Gapiliśmy się do góry i jakby śpiewy jakieś, pienta anielskie nas polechtały, falując i potężniąc.

A w górze nic. Na pustym boisku nieba żarzyła się tylko słoneczna piłka, aniołów ani śladu. Z wygasłej gwiazdy nawet dziury w niebie nie zostało.

— Te, Chaja, gdzie ta gwiazda? — burknął Zdzichu.

— Głupi jeste, to przecież metafora — ofuknął go.

— Powiadają ludzie, że kiedy człowiek umiera, na niebie gaśnie jedna gwiazda.

Obkręcając ostatniego kierata patrzyliśmy pod nogi. I znowu przed nami kamienny orzeł-staruszek, znowu księgarnia.

Idąc cały czas przed siebie — doszliśmy do punktu wyjściowego, za deptując własne ślady. Nic się nie zdarzyło, nic się nie zmieniło. Spojrzałem na zegar miejski — zaklejonny paskami papieru na krzyż. Czas stanął w miejscu.

Nawet Sieryfa nie spotkaliśmy.

TEGOROCZNA literacka Nagroda Nobla była chyba dla większości zainteresowanych tą sprawą zaskoczeniem, a może nawet rozczarowaniem, gdyż ów laureat są poza krajami skandynawskimi prawie nieznanymi. Natomiast w rodzimym Szwecji uchodzą za pisarzy wybitnych, cieszą się dużą i już wieloletnią poczytnością. Może niniejszy artykuł choć w pewnym mierze pomoże zrozumieć czym się kierowała Szwedzka Akademia w przyznaniu tegorocznej nagrody.

do interpretacji. Demonizm, dyskretnie zaznaczający się w wielu utworach Johnsona, znalazła tu potężnego reprezentanta w postaci tytułowej, wielkiej aferyzki typu Kreugera, znanego z milionowych nadużyć „Króla zapalczanego” z lat międzywojennych. W książce „Regn i gryningen” (Deszcz o święcie 1932, Johnson opowiada się za „prymitywizmem”, głoszącym m.in. hasło wyzycia się seksualnego, co wiąże ten utwór z książkami wielu ówczesnych autorów. Skłonności intelektualne Johnsona nie

knoty. Nasuwa się tu analogia do dramatu Żulawskiego „Eros i Psyche”.
W r. 1907 Eyvind Johnson został członkiem Szwedzkiej Akademii. Twórczość Johnsona nie uchodzi za łatwą w odbiorze, ani komentowaniu. Jego prawdość i otwartość w rozstrzygnięciu moralnych zagadnień wiąże się niejednokrotnie z chwilną postawą, gdy chodzi o ocenę własnych spraw. Głosząc hasło „Podróż od mózgu do serca”, pisarz oczekuje odnowienia świata przez postawę powszechnej zyciowości.

skierowała na niego w pełni uwagę czytelników świata. Stało się to dzięki dwóm rapsodycznym w stylu książkowym: „Hiesor utan mål” (Podróż bez celu, 1932) oraz „Kap Farväl” (Przyłówek zagnaj), 1933. Te opowiadania o morzu i porcie stały się wielkim sukcesem; zaskakująco, zdaniem krytyków, jedynym w swoim rodzaju świeżością języka, wolności od literackich konwencji i zdolności wciągania czytelnika w zaszarowany krąg świata pisarza. W książkach tych rozwija Martinson poglądy, że człowiek stale powinien być w ruchu jako nomada świata. Zbiór poezji „Natur”, 1934, jest już mocniejszy w tonie, podobny w surowości do poezji islandzkiej. Niewiele zostało tu z łagodnego uroku, który cechował jego wczesną poezję.

Autobiograficzne powieści „Namiorna blomma” (Jasnoty kwitną, 1925, oraz „Vägen ut” (Droga w świat, 1936, należą według znawców do najbardziej przejmujących obrazów dzieciństwa. Pożwawione domu i przyjaźni własne dzieciństwo autora nie pozostawiało gorczy. Jednocześnie obie książki są historią rozwoju człowieka i pozawionym iluzji obrazem ludzkich charakterów.

Książki pisane pod koniec lat trzydziestych zawierają głównie obrazy przyrody ojczystej, ze stałymi paralelami między małymi a wielkimi powiastkami.

Druga wojna światowa wniosła do twórczości Martinsona nowe tematy. Powieść „Den forlorade jaguaren” (Zagubiony jaguar, 1941, zwraca się przeciw bezkrytycznemu kultowi cywilizacji materialnej. Autor czuje odrazę do współczesnej bezdusznej techniki, do hałasu głośników radiowych, do samolotów, z których widać się pod sobą ziemię tylko jak mapę, lecz nie przeżywa się bezpośrednio zetknięcia z żywym światem. Natomiast odczuwa duchowe braterstwo z wagałkami, których życie dzieł w młodych latach w wędrowkach po Półwyspie Skandynawskim. Im to poświęcił pełne sympatii karty w swej książce „Vägen till Klockrike” (Droga do K), 1943.

Książka w przekładzie M. Olszańskiej wydano Wydawnictwo Poznańskie w 1972 r.). Główna postać książki, wagałka Bolle, pozostaje mimo lekkomyślnego trybu życia człowiekiem cierpliwym i wrażliwym, zwłaszcza na uroki przyrody i kobiecości.

Martinson jest daleki od mdłej idylliczności. Sformułowania jego bywają nawet ostre, jak „W tej przesadnej uprzejmości zawarta była cała nienawiść, jaką czuła do siebie, przyzyczna, wypomadowana, kłaniająca się nienawiść” („Cygarowi Hiszpanie”). Wszystko, co napisał, wykazuje wyczerpiecie na niebezpieczeństwo, jakie grozi ze strony ludzkiej złości i chciwości, choć niektóre jego postacie mogą odnieść się do wszystkiego z mądrą wyrozumiałością. Nawet nuta pesymizmu znajduje wyraz w potężnym eposie „Anlara” 1956. Przez to opowiadanie o statku kosmicznym, który ze swoimi pasażerami znalazł się na bezdrożach, przeżywa się głęboki sceptycyzm wobec niewłaściwego wykorzystania postępu, wskutek czego cała ludzkość znalazła się na bezdrożu. Podobne myśli można znaleźć również w zbiorze poezji „Vagnen” (Pojazd), 1950. Martinson wystąpił też jako dramaturg i autor wielu słuchowisk, które wyszły jako osobna książka. Na scenie ukazała się sztuka „Tre knivar från Wei” (Trzy noże z Wei), 1964. „Anlara” została przerobiona na operę.

Martinson został członkiem Akademii Szwedzkiej w r. 1946, a w r. 1954 uzyskał doktorat honoris causa uniwersytetu w Göteborgu. Z Johnsonem łączy go głównie budząca sumienie krytyka współczesnej cywilizacji.

Andrzej M. Kołaczkowski

LAUREACI NOBLA

porwolity mu jednak opowiedzieć się na dłuższą rękę do dość płytką nauką o „wyzwoleniu” człowieka. Rozwinął osobisty pogląd o nastawieniu moralnym, dając wyraz przekonaniu, że podjęty należy odstać w służbę kultury i ludzkiej wspólnoty. Za powołanie pisarza uważał przekazywanie czytelnikom nowych myśli, które niesie czas.

Pełne uznanie uzyskał Johnson dopiero wielką tetralogią, objętą wspólnym tytułem „Romanem om Olof” (Powieść o Olofie) 1934—1937. (Wydawnictwo Poznańskie zapowiada jej wydanie). Treść tetralogii została w większości zaczerpnięta z przeżyć autora, który pracował w wielu zawodach (m.in. jako filisak i pracownik w tartaku) przez długie lata przebywał w różnych krajach. Powieść daje bogaty, barwny obraz zmiennego, zmuźnego i pełnego ryzyka życia.

W przeciwieństwie do większości książek Johnsona, „Powieść o Olofie” uchodzi za napisaną prostym i bezpośrednim językiem. Przedstawia ona również radykalne poglądy polityczne głównego bohatera. Johnson w latach dojrzycy stał się zdecydowanie obojętny przeciwko faszyzmowi i hitleryzmowi. Do grupy politycznych powieści należą: „Nattövning” (Nocne ćwiczenia) 1933, i „Soldatens återkomst” (Powrót żołnierza) 1940. Są one jednocześnie ironiczne i patetyczne w tonie, w swej walce przeciw przemocy i w obronie idealów demokratycznych. Johnson współpracował w czasie wojny z czasopismem „Nordens trihet” (Wolność Północy) i wydawał dla Norwegii pismo „Handslag” (Uścisk dłoni).

Temat powrotu żołnierza, obciążonego poczuciem winy przedstawiony jest również w powieści „Strändernas svall” (Fale biją o brzeg) 1946, której motyw wzięty jest z Odysei. Sytuacja Europy po wojnie zobrazowana jest w wielu powieściach. W sposób pośredni i symboliczny w książce „Drömmar om rosor och eld” (Sny o różach i ogniu) 1949, powieści o francuskiej procesach czarność z XVII w. W innych zaś powieściach bezpośrednio.

Powieść „Mölnen över Metamontion” (Chmura nad Metamontion), 1967, dzieje się na dwóch płaszczyznach czasowych. Spłata antyczna opowiadanie o „Wyprawie dziesięciu tysięcy” z politycznymi wydarzeniami naszych czasów.

Wielka powieść z tezą „Hans Noades tid” (Czas Jego Wysokości), 1967, mówi o zdolności człowieka do przetrzymania. Akcja przeniesiona jest w czas Karola Wielkiego, ale ma wyraźne powiązanie z wydarzeniami naszych dni. „Lysdagen lang” (Poprzedz dzień), 1964, jest romansem, w którym intryga i główne postacie snują się poprzez wieki, na tle zmiennego ludzkiego losu i wiecznej tę-

Harry Martinson urodził się w r. 1904 w Blekinge jako syn kapitana żeglugi, ale został półsierotą już w szóstym roku życia. Ojciec zmarł, a matka wyjechała na stałe do Ameryki. Zaopie-



kowała się nim gmina i mieszkał w różnych domach dziecka a przez pewien czas nawet w domu starców. Kilkakrotnie uciekał. Był jakiś czas pracownikiem rolnym, a także przez wiele lat marynarzem i palicem na statku. Zobaczył więcej świata niż którykolwiek ze współczesnych mu pisarzy szwedzkich.

Choroba zmusiła go do porzucenia pracy na morzu. Ale jako doświadczony marynarz zaczął dawać opisy podróży, którym — zaniem wielu krytyków — brak odpowiednika w literaturze szwedzkiej. Są one jednocześnie wspomnieniami prawdziwych przeżyć i fikcją poetycką. Przejmujące są głębokim odczuciem przyrody, zażyłą znajomością świata zwierząt i roślin oraz współczującym spojrzeniem na losy ludzkie. Pierwsza powieść „Spökskepp” (Okret widmo) 1929, jest jeszcze mało samodzielna, ale zawiera już zapowiedzi odrębności, która uczyniła z Martinsona jednego z najoryginalniejszych pisarzy szwedzkich.

Najbardziej osobisty jest zbiór poezji „Nomad” (1931) który zwrócił uwagę zwycięską fantazji, śmiałością poetyckich obrazów i bogatym doświadczeniem zyciowym. Ale dopiero proza Martinsona

okoliczności sztuki

Między nadzieją a szlaczkiem

DZIESIĄTEGO października otwarto nowe skrzydło Muzeum Okręgowego w Lublinie, kryjące ogromne sale ekspozycyjne: bodaj czy nie 2 tysiące metrów kwadratowych Wydarzenie aranżowano w szalonym pośpiechu, w nocy poprzedzającej inaugurację pracownicy muzeum wiórkowali jeszcze parkiety i instalowali urządzenia. Finał wieloletnich

zabiegów okazał się przeciwieństwem imponujący, niejednego z uczestników uroczystości oszołomiły zbiory malarstwa — od XVIII wieku do naszych dni — po raz pierwszy ujawnione w tak szerokim zakresie. Co tu dużo mówić: muzeum lubelskie posiada wiele świetnych obrazów, sygnowanych przez malarzy najwybitniejszych. Radujmy się.

Z pokorą ośmielał się jednak zwrócić uwagę na pewne fakty, których jednak nie można usprawiedliwić pośpieszonym trybem realizacji wspomnianych ekspozycji. Dotyczą one przede wszystkim działu malarstwa współczesnego („nowoczesnego”) oraz wystawy „Plastyka lubelska 1944—1974”, która zapewne będzie podstawą oczekiwanego galerii naszego malarstwa.

Jak wiadomo, muzeum prowadzi m.in. działalność naukową, która obejmuje również i takie kwestie, jak ustalenie chronologii dzieła sztuki. Tymczasem na metryczkach obrazów nie uświadczysz dat ich powstania, co tłumaczy się brakiem odpowiednich źródeł. Jest to oczywiście wyjaśnienie śmieszne, jako że większość autorów żyje, a zgodnie z rozpowszechnionym już zwyczajem katalogi wystaw ogólnopolskich zawierają ich adresy. Należy przypuszczać, że każdy z nich chętnie odpowiedziałby na listowne zapytanie o datę namalowania płótna. Może poza Wandą Gołkowską i Bronisławem Kierzkowskim, których nazwiska zniekształcono na metryczkach, na co zresztą od razu zwróciłem uwagę osób odpowiedzialnych. Trzy tygodnie później przekonałem się, że błędy nie naprawiono. Wiadomo, IJK czepia się złościwie.

Powiedzmy jednak, że pisanie listów sprawia niektórym ludziom kłopoty. Jeśli tak, to powinni oni baczenie oglądać obrazy, które pokazali — zapewne

z myślą o funkcji naukowej, informacyjnej i dydaktycznej ekspozycji muzealnej. Bo na wielu płótnach jak byk figurują data ich powstania, wykreślono pędzlem przez artystę. Ponadto warto już chyba rozstrzygnąć, czy autorem obrazu „Lęk przed czymś” jest Jan czy Alfred Lenica. W 1962 roku muzeum kojarzyło z dziełem Alfreda, a teraz Jana. To naprawdę nie jest ta sama osoba.

No tak, usłyszę, czepia się facet drobniutki, pomijając tak fundamentalne i pryncypialne kwestie, jak oddanie nowego skrzydła muzeum 14 miesięcy przed terminem. Ale czy jest sens gratulować PKZ, jeśli one i tak działają w głębokim przekonaniu własnej doskonałości?! A poza tym te rzekome drobniaki mogą być powodem poważnego zamętu w głowach publiczności oraz młodzieży, na której, jak wiadomo, bezwzględnie i szczególnie nam zależy. Oto staje taki młodzieniec przed „Obrazem formowanym w gipsie” czy „Tryptykiem” i z niesmakiem stwierdza, że Jan Ziemski i Włodzimierz Borowski oferują mu twórczość całkowicie dziś epigońska. Skąd bowiem może wiedzieć, że prace te powstały na schyłku lat pięćdziesiątych, egzemplifikując awangardowe tendencje sztuki polskiej?! Jeśli już jesteśmy przy tych nazwiskach: autor (?) scenariusza ekspozycji jakby usiłował wyodrębnić przestrzenie twórczości grupy „Zamek”. Wyszły z tego historie tyle śmieszne, co smutne. Od lewej zaczynając: dwa obrazy Ziemskiego, jeden Durakiewicza, „Tryptyk” Borowskiego, dwa Dzieduszyckie i dwa... Ziemskiego. Skąd ta skłonność do flankowania? W zestawie zabrakło Krzysztofa Kurzątkowskiego, którego strukturalną „Kompozycję” przeflancowano na przeciwny filar.

Ale prawdziwego ewiewka wbiła dopiero usytuowanie płócien Ryszarda Lisa i Jerzego Durakiewicza: dwie prace tego ostatniego pokornie flankują (!) duży obraz R. Lisa. Kaplan i ministranci? Wódz i adiutanci? Powiedzmy, że nieznamość reguł muzealnego postępowania. Wiele faktów przekonuje, że autorem wspomnianego scenariusza kierowało pragnienie zestrojenia ekspozycji „pod kolorek”. Można i tak. Ale we własnym domu, gdzie i szlaczek dobrze się czuje na ścianie z reprodukcją „Słoneczników”.

Miejmy jednak nadzieję, że wspomniane błędy bez reszty wiążą się z charakterem tzw. okresu wzrostu, który zawsze i wszędzie rodzi komplikacje.

Wszystkiego dobrego życząc Muzeum Okręgowemu na jego nowej drodze życia, uprzejmie proszę o przychylnie potraktowanie niniejszych uwag, zredagowanych przez człowieka przyjaźnie usposobionego do instytucji na Zamku, lecz nieco zaniepokojonego treścią inauguracji. Głęboko przy tym wierzę, że otwarcie stałej galerii plastyki lubelskiej spowoduje innego rodzaju refleksje.

IJK

Z ostatniej chwili: Sciany nowego skrzydła parują, obrazy pączą się, w pośpiechu likwiduje się niektóre ekspozycje, największa sala wystawowa okazuje się być zupełnie niefunkcjonalna, kotłownia grozi awarią, wilgotność magazynu w suterenie (!) osiąga 92 proc. Oto koszty reklamowego pośpiechu, z jakim otwarto nowe skrzydło dla publiczności. Wychodzi na to, że w felietonie gaworzyłem o różach, podczas gdy lasy płoną — podpalone raczej bez udziału Muzeum Okręgowego.

Odpowiedzi redakcji

S. W Opele Lubelskie. Każdemu autorowi zależy przede wszystkim na odpowiedzi, czy jego utwór zostanie zamieszczony, a jeszcze bardziej na odpowiedzi (czyli pozytywnej). Dopiero później na dół krytycznej. Jest to prawidłowe, uważa autor na dobrą sprawę najwięcej powinien wiedzieć o swoim utworze. Jeśli twórca, czyli nie zasługuje na miano literackiego. Zdaje sobie z tego sprawę i w rubryce chciałby mieć wyłączenie tej rubryki do druku. Widzimy więc, że ten autor ale i pracownik redakcji ma swoje marzenia. Rzeczywistość ma swoje prawa. Stąd charakter niżej jest inna i stał charakter niżej. Nie prowadzimy jej dla „pocieszenia” tych, którym się nie powiodło. Staramy się podpowiedzieć środki poprawy widząc próby, co do których istnieje przypuszczenie, że świadczą o możliwościach rozwoju. Pańskie opowiadanie jest przełączone „opisywacystą” i ozdobami tekstu nie niosącymi głównej idei utworu, a zawierającymi literaturę kondensować. Nie w sensie mechanicznym w sensie funkcjonalności użytych zwrotów, ich przydatności dla całości. Krótko — to wcale nie znaczy mało. Nie tylko w literaturze.

A. M. Lublin. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że to poezja „komputerowa”. Wrzucmy do maszyny pewną sprawność formalną, trochę niezadowolona ze światła, poczucie pustki i brak rozwiązań, skłonność do wyrażenia ostrych i szokujących, przesunmy rączkę dźwigni, a wypadną pańskie teksty Pan „zaprogromował” swoje utwory uchwyciwszy pewne sposoby stosowane dziś w poezji, co Pan stwierdził w trakcie lektury czasopism i tym arsenalem przystąpił do wyprodukowania swoich tekstów. Bardzo to niewłaściwe. Za punkt wyjścia trzeba przyjąć samego siebie. Zdajemy sobie sprawę, że niniejszą uwagę można podważyć aż z dwóch stron. Bo po pierwsze: czy to wada dużych stopień czytania? Sam przecież lekturę doradzać jako jeden ze środków zdobywania literackiego doświadczenia. Ale przez lekturę należy doprowadzać do konfrontacji własnych utworów z utworami już napisanymi i przyjętymi przez czytelników, a nie szukać w niej (wylącznych) źródeł inspiracji. Po drugie: wygląda na to, że proponuje jakiś ekshibicjonizm czy „uczuciowość”, której obecność ma nadać liryczną rangę wierszowi. Nie o to chodzi. Mówię o wierszu własnym, nie mam na myśli autentyczności „syntaktycznej” autora (choćby ta, jak się w końcu okazuje, jest konieczna). Mam na myśli potrzebę mówienia od siebie, poszukiwania własnego słowa, zainteresowania sobą jako partnerem rozmowy. Nie chodzi o jeszcze jeden wiersz. Ten przeczytałeś po przeczytaniu dwudziestu przy pewnej kulturze literackiej dla się napisać. Chodzi o wiersz potrzebny.

T. Z. Zielona Góra. Temat okupacyjny rzeczywiście jeszcze nie wygasł w zainteresowaniach czytelników, jak zresztą wciąż aktualne są ustosunkowania się do naszej epopei narodowej w każdym jej momencie historycznym. Ale jak wszędzie w piśmiennictwie — i tu obowiązuje nowe podejście do tematu. Nie dowiadujemy się niczego, jeśli tylko tego że Gestapo aresztowało, odbywały się egzekucje i wywózki do obozów koncentracyjnych, a ludność cierpiała. Przypuszczam że zna Pan te sprawy wyłącznie z opowiadań ludzi starszych i na tej podstawie zamierzył utwór literacki. Zresztą literackim jest on tylko w intencji. Język, którym się Pan posługuje jest tak schematyczny, że odbiera opisowi wszelką możliwość zainteresowania czytelnika. Radzimy coś z własnych doświadczeń.

B. R. Leśna Podkowa. „Scenariusz” tego opowiadania przedstawia się dość rzetelnie. Sama fabuła, konstrukcja, następstwo scen, zupełnie poprawne. Tylko realizacja. Odnosi się wrażenie, że Pan nie pisze, lecz szkicuje. Ze otrzymaliśmy brulion zawierający projekt opowiadania, które warto by kiedyś napisać. Ten szkiclet trzeba obłożyć „tkanką miedziową”, inaczej pozostanie martwy. Z dobrego utworu literackiego czytelnik czasem wybiera jedno zdanie. Z tego — nawet tyle nie można. A przecież literatura to przede wszystkim słowa. Kiedy jest sprawne — ile czasem można wybaczyć?

R. D. Łuków. Za dużo Pani wymieniła mistrzów swojej poezji: Bo i Leśmiana, i Jasnorzewska, i Różewicz, i Grochowiak. Czy sądzi Pan, że z każdego coś weźmie i w ten sposób powstanie Pani własna orientacja poetycka? Powstanie amalgamat wewnętrznie sprzeczny. Chyba że jest Pani cudotwórczynią, albo — co realniejsze — teoretyczną przyjmując niespójne asocjacje, w praktyce zdobywcę się Pani na własny wyraz. To drugie byłoby całkiem sensowne.

S. I. Lublin. Utwór poetycki musi „wziąć”. Musi być w nim myśl do odkrycia, do przyjęcia do dyskusji, jakiegoś przekazywania czegoś z widzenia świata. Przy dokładniejszej analizie tekstu okazuje się, że ich zawartość myślowa jest żadna, a tylko „zakodowana” na wspólnym języku. Ważny kierunek leżąca notatki dziennikarska i wyrzućmy z niej co trzecie słowo, a powstanie „poezja”, której Pan zdaje się być zwolennikiem. Poezja to nie zabieg formalny, to próba nowego spojrzenia. Owszem — i nowego komunikatu, ale wtedy, kiedy funkcjonalnie wynika on z oryginalnie zamierzonej treści.

Szyfrogram literacki (nr 23)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu literę na miejsce odpowiadającej jej liczby i odczytać rozwiązanie — fragment wiersza polskiego poety, którego imię i nazwisko dadzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — wiersza.

Wyrazy pomocnicze

- 22, 92, 6 — kręcący prąd.
- 16, 51, 17, 65, 27 — wieś na Sudecczyźnie słynąca śilwkami.
- 13, 29, 38, 5 — drożyna.
- 50, 3, 15, 30, 48, 100 — rezultat pracy.
- 4, 43, 14, 9 — zamek zatrzaskowy angielski.
- 11, 33, 1, 23, 44, 54, 45 — tygodnik satyryczny.
- 46, 68, 99 — szpalta.
- 19, 10, 31, 31, 36 — jednostka natężenia elektrycznego.
- 66, 59, 85, 18 — drzewo liściaste.
- 7, 12, 79, 58, 39, 86 — pojedynczy pyłek metalu.
- 2, 34, 69, 27 — w wierszu i w muzyce.
- 21, 87, 29, 70, 73 — stolica Ukr. SSR.
- 24, 94, 91, 8, 49 — zawiadomienie o nadejściu przesyłki.
- 22, 62, 35, 97 — kapitan „Nautilusa”.
- 40, 61, 77, 97 — atrybut kowala.
- 42, 81, 69, 47, 73, 90 — pismo dla dzieci starszych.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	
14	15	16		17	18	19	20		21	22	23	24	25
26		27	28	29	30			31	32	33	34	35	36
37	38	39	40		41	42	43	44	45	46		47	48
49	50	51		52	53	54	55			56	57	58	59
60	61	62	63		64		65	66	67	68	69	70	71
		72	73	74	75		76	77	78	79	80	81	
83		84	85	86	87			88	89	90	91		92
		93	94	95	96	97	98		99	100	101	102	

- 73, 85, 56, 78, 67, 28 — zbuntowany, pseudonowoczesny młodzieniec.
- 74, 26, 72, 96 — szwajcarski zegarek.
- 71, 85, 64, 83, — zezwolenie na wjazd do obcego kraju.
- 88, 32, 38, 102, 63, 93, 41, 84 — wielka dziedzienna gospodarka.
- 82, 80, 101, 89, 93 — długonogi muchoterca.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 131 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 21 był fragment wiersza Józefa Czechowicza pt. „Autoportret”:
„Stanąłem na ziemi w Lublinie
tu mnie skrzydłem uderzyła irwoga
matko dobra
na deszcz mnie małego tęsknego wynieś
za miasto tam siano pachnie w stogach”
Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 21 nagrody rzeczowe — bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali:
Paweł Zawisza, Włodawa, Aleje Wyzwolenia 56;
Stanisław Nowakowski, Piłszkowiec, Szkoła Podst. Dąbie; Franciszka Kolacz, Kraków, ul. Łobzowska 209; Kazimierz Swiderski, Słupsk, ul. Ks. Brzoński 45 m. 2.

listy do kamery

NIE PASOWAŁ DO GROMADY

Czytając list dyrektora OST „Gromada” — oddział Lublin, trudno mi nie zająć stanowiska: nie tylko z uwagi na poruszone kwestie osobiste, ale również i swoiste, bezprecedensowe sytuacji. Nie będę się wkiłk w wyjaśnienia (jak skrupulatnie czyni to pan dyrektor), wychodząc z założenia, że artykuł red. Stanisława Harasimki pod znanym tytułem był sam w sobie wystarczającym jasny. Niemniej warto się jednak zastanowić nad niektórymi „wyjaśnieniami” pana Adamczewskiego. Podstawową działalnością Ekspozytury „Gromada” jest organizowanie imprez turystycznych w postaci zapewnienia instytucjom zgłaszającym swój akces w wyłączenie szeregu świadczeń takich jak: tabory, noclegi, wyżywienie, przewodnictwo itp. Przyznaje pan dyrektor w pewnym momencie, że było ich grubo ponad trzydzieści. Z powodu czujnego ucha i „nierobótwa” imprezy dochodziły do skutku, były programowane i odprawiane, a plan budżetowy (mowa była o dobrzej pojeździe interesie OST „Gromada”), był, o dziwo, mimo zaległości wykonywany! A ekspozytura „Gromada” Kraśnik mimo upiornych warunków lokalowych i kłopotów z taborem funkcjonowała i spełniała swoje zadania!

Dwie wymienione imprezy, których nierozliczenie zarzuca się kierownikowi, były rozliczone natychmiast po kontroli. W liście stanowia one niby koronny dowód przestępstwa. Mea culpa. Przesadzona chwila jednak z tymi pretensjami, biorąc pod uwagę kolorotek pracy w pełnym sezonie. Dalej: otuleram oczy ze zdumienia, czytając wiersz w którym pan dyrektor stwierdza, iż telefonicznie nie się nie zapomniało. A przecież sam w pierwszych dniach mojej pracy stwierdził, że telefon jest podstawowym narzędziem pracy kierownika! Praktycznie bez telefonu istotnie ani rusz. Skala ważności papierów dla niektórych jest różna. Dla dyrektora pismo w sprawie zatrudnienia sprzątaczk stanowi niekiedy filar działalności instytucji. Czyli nie dodac, nie usć. Z koleś ja mam kilka problemów. Jak to się dzieje, że po miesiącu pracy można autorytatywnie stwierdzić, że człowiek, który przeszedł i zupełnie innej branży i któremu nie udzielono niemal w żadnym zakresie instruktu i przeszkolenia (tłumaczenie, iż pełniąc funkcję pilota jest się dostatecznie

kompetentnym, jest dla mnie śmieszne; znający istotę sprawy uważa, że istnieje zasadnicze rozbieżność między pilotem wycieczek, a przewodnikiem ekspozytury) nie nadaje się do pracy? Tym bardziej, jak zresztą już wspomniałem, że działalność OST „Gromada” — Ekspozytura Kraśnik w okresie zatrudnienia niejakiego Borkowskiego była efektywna i w pełni spełniała swoje podstawowe (organizatorskie wycieczek) funkcje. Przyjmując mnie do pracy OST „Gromada” — Oddział Lublin wiedział ponadto dokładnie o tym, że aktualnie kończę studia i należało mi się 21 dni roboczych na napisanie pracy dyplomowej, oraz 12 dni szkolnych na zakończenie semestru. Otrzymałem 10 dni wraz z dokumentem zwolnienia mnie z pracy. Dziękuję! Zwolniono mnie po miesiącu z pracy, w ciągu jednej chwili, bez zastanowienia, przekraczając mój wieloletni dorobek w poprzednim miejscu pracy. Wieloletni dorobek w pracy społecznej to organizacjach społeczno-politycznych, wreszcie zostawiając mnie bez środków do życia!

Nie wiem czy czegoś formalnością może być fakt włączenia wraz z zaleceniami pokontrolnymi wypowiedzenia z pracy. Stąd drogą, dziwną praktyką. Aby dopełnić obrazu sytuacji stwierdzam, iż żaden przedstawiciel Rady Zakładowej OST „Gromada” Oddział Lublin nie próbował nawet rozmawiać ze mną; co, jak, dlaczego? Cóż, dla niektórych człowiek jest tak marną istotą...

W konkluzji tej smutnej całej sprawy wydaje mi się słuszne ukończenie przez nowo kadełkę pracy dyktatorskiej praktyk zaszczytowania ludzi tylko dlatego, że nie chcą być stykani z przynajmniej, mają odważnie mieć swoje własne zdanie i niekoniecznie chcą być konformistami!

Janusz Piotr Borkowski
b. kierownik
Ekspozytury OST „Gromada”
w Kraśniku

ŁADNIE ALE KRÓTKO

Bardzo ładnie wymalowali nam budowlani Krakowianie przedmieście i kończąc kosmetykę fasad kamienio przy ul. Chopina. Dzięki tym prostym zabiegom zobaczyliśmy ze zdumieniem, że stare budynki są wyjątkowo piękne i warte opieki. Znajdąc się jednak trochę na sprężach budowlanych chciałbym zauważyć, że ten kolorowy majestatycznie bez bludu za trzy — cztery lata i znów straszny nas będą zakurzone, brudne elewacje. Chodzi o to, że do malowania użyto farb emulsyjnych, które znakomicie wyłamują się ze swojej roli w pomieszczeniach zamkniętych, nie wytrzymują zbyt długo działania deszczu, wiatru, i kurzu. Moim zdaniem lepszy do tego celu byłby terazyt, czyli rodzaj trwałego tynku zawierający mleko, która powoduje delikatny pobłask ścian. Ten materiał wytrzymuje 20 lat bez zasadniczej renowacji, a ścianę nim wyłożone można odnawiać strumieniem zwykłej wody. Jedną ma tylko wadę: jest

stosunkowo drogi, znacznie droższy od farb emulsyjnych. Ostatecznie jednak, biorąc pod uwagę jego trwałość, opłaca się na pewno.

Antoni Jędrejk
Lublin

UMCS — UMCS?

W 20 numerze „Kamery” przeczytałem wykład z rektorem „Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej” i moim zdaniem zabrakło tam jednego pytania: kiedy przywrócona zostanie właściwa nazwa uczelni? Zawsze, kiedy słyszę lub czytam nazwę „Uniwersytetu Marii Curie — Skłodowskiej” doznaję przykrego uczucia, że wyraża się pośmiertnie krzywdę naszej wielkiej rodaczce, uczonemu — Marii Skłodowskiej.

Maria Skłodowska po zawarciu małżeństwa z Piotrem Curie podpisywała się zawsze: Maria Skłodowska-Curie, co łatwo można sprawdzić w pozostałych dokumentach. Istnieje wprowadzić napis Maria Curie-Skłodowska, użyciu przez kamieniarzy na nagrobku, ale to już działło się poza ułoj i świadomością uczonemu.

Z zainteresowaniem przeczytałem w „Standardzie Ludu” wystąpienie przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego, który z okazji 30-lecia powstania Uniwersytetu nie wypowiedział ani razu „urzędowego”, czyli niewłaściwego brzmienia nazwy uczelni, a w dalszych słowach powiedział: „Polka, Maria Skłodowska-Curie”. I taka nazwa powinna mieć Uniwersytet: im. Marii Skłodowskiej-Curie.

DOM W CIECHANKACH

Nawiązując do listu w sprawie domu literatów w Ciechankach („Kamera” nr 21), który nadesłała Anna Zielińska z Mielkowa, pragnę wyrazić swoje gorzkie zdumienie treścią tej epistoły. Na pogrzebie Melchiora Wańkowicza ludzie wrucali do odkrytego jeszcze grobu listy, które zawierały m. in. gorące słowa podzięk za trud pisarski autora „Na tropach Smetki”, przynoszący im czytelnikom, wsparcie moralne, nadzieję i pokrzepienie, a tu tymczasem ktoś z niechęcią tym tupetem porzucił pisarzy jakiegoś kolibry znaczenia. Stępota, brak kultury czy zła wola?

Krystyna Miernicka
Warszawa

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł. półrocznie 39 zł. kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatów RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatów zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23 00-340 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN. Unicka Zam. 2526 30.X.74. E-4.

Numer łamal Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy.

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Serce Beaty topniało

DOСТАLIŚMY przesłankę z Puław Jedną z naszych czytelniczek załączyła krążące w opisach opowiadanie pt. „Tragiczna miłość” z myślą, iż może przydać się redakcji.

Opowiadanie jest przepisane ręcznie na czterech wielkich stronach. Oto jego treść w dużym streszczeniu.

Beata ze swą koleżanką Mariolą idą do kina i tutaj poznają Jacka. Beata z miejsca zakochała się w chłopcu. Nie może się jednak z nim spotkać, bo Mariola postępuje wobec niej nie fair: o wszystkim informuje matkę Beaty, a ta zamyka dziewczynę na klucz. Beacie udaje się jednak wyrwać, ale Jacek informuje ją, że wyjedź z rodzicami na stałe do Radomia.

Po kilku miesiącach Beata jest w Radomiu i tu przez przypadek dowiadywa się, że jej kolega, Staszek, przyjaźni się z niejakim Jackiem. Zgłosiła się to ten sam Jacek. Dochodzi do spotkania, jednego, drugiego... Ale Staszek intryguje: mówi do Beaty, że Jacek chce tylko dziewczęta wykorzystywać. Ona nie jest

pierwsza naiwna. Oburzona Beata po dramatycznej rozmowie zrywa z Jackiem. Jacek popełnia samobójstwo. Beata czyni to samo, wyskakując z pedzającego pociągu.

Dla ilustracji stylu opowiadania kilka przykładów:

„Beata nie mogła się doczekać tej godziny o której mogła go znów zobaczyć. Była zaledwie 18.00, jak wyszła z domu. Wałęsała się po mieście w pobliżu mostu. Przystanęła przed jakąś wystawą. Był to sklep z zabawkami. Uśmiechnęła się marząc do lalek. „Lalki to pajace, a pajace to mężczyźni!” — pomyślała...”

Poszli z Jackiem do parku. (...) „popatrz (to Jacek) jak ładnie palą się latarnie, a śnieg prósz. Twoje rzęsy są białe, porwolisz, że zdejmę ci z nich płatki śniegu? Przynęła się i przymknęła oczy. „Już?” — zapytała...”

Mineło kilka miesięcy. Nowe spotkanie w Radomiu:

„Ujął jej dłoń i uściśnił, szeptał do niej „Beatko, Beatko”. Serce Beaty topniało aż wreszcie rzekła: „Wzajemna nienawiść” i odwróciła głowę. „Nieprawda — powiedział Jacek — masz na myśli mój odjazd i nasze pożegnanie. Beatko, pomyśl, jaki miałem ból w sercu, że nie mogłem inaczej. A ty czujesz do mnie pogardę, prawdę?” Beata nie odpowiedziała, tylko zaszczoła. Objął ją i patrzył na jej zapiśniane oczy. Wyjął chusteczkę do nosa i zaczął wycierać łzy, spływające po jej policzkach. Beata przymknęła oczy. Nagle Jacek przechylił ją lekko i położył na trawie. Przybliżył swoją twarz do jej ukochanej twarzy. Patrzyli sobie w oczy, twarze ich prawie się stykały. Nagle Jacek jeszcze bardziej zbliżył swoją twarz

i pocałował ją lekko w uchylone usta. Beata nie bronila się od pocałunku, przymknęła oczy i zapomniała o świecie. Ujął teraz jej głowę w swoje dłonie. Beata głaskała go po włosach...”

Teraz moment tragiczny:

„Zegnaj moja droga Beata...” I z tymi słowami na ustach rzucił się z dachu na ziemię. Niedługo jacyś ludzie zaniesli go do domu. Zrozpaczona matka darła włosy z głowy, zagryzała paznokcie do krwi. Trzymała cały czas jedyne syna w objęciach. Jacek miał twarz siną, usta jego zdawały się wymawiać cały czas imię „Beatka”.

Pogrzeb chłopca odbył się. Był straszny. Matka chłopca skoczyła do otwartej mogiły. Rzuciła się na trumnę, płakała i darła włosy z głowy... Czytelniczka, która przesyłała nam to opowiadanie (specjalnie dla nas przepisane) nie ma zapewne więcej lat niż szesnście. Jeśli zadała sobie tyle trudu (przepisywanie musiało trwać kilka dobrych godzin), sprawa musi być dla niej ważna.

Dla nas jest ona też ważna, bo stanowi jeszcze jedną ilustrację zainteresowań naszych nastolatków. Czy tym zainteresowaniem może sprostać współczesna literatura? Czy nauczyciele w szkołach potrafią poza obowiązkową lekturą wskazać książki, mogące szczególnie zająć młodzież?

Sądzymy, że „Tragiczna miłość”, krążąca w odpisach, nie jest jakimś wyjątkiem. Będziemy radzi, jeśli otrzymamy inne pozycje rozchwytywane i przepisywane. Może by ogłosić konkurs na największą bzdurkę. Płon byłby zapewne obfity i kto wie, czy nie powstałaby na tym tle jakaś nowa praca doktorska...

M

minuta myślenia

Odeszli - są

NIEUSTANNY przepływ pochodu przez bramę cmentarną. Szli ładnie niosąc wieńce i kwiaty. Przy grobach zapalali lampki. Wszyscy, wszyscy. Miasto żywych przysięgło do miasta umarłych.

Jedyną w roku widok. Ciemność zasnęła kopule nieba wspartą na linii horyzontu, a z ziemi pulsowało światło nieustannie wspomaganą nowymi odsieczami płomykami. Cienie i światła. Milczenie i wiatr. Dziady.

Dzień, który sklonił do refleksji każdego z nas. Na groby najbliższych przyszłiśmy zapewnić ich o naszej o nich pamięci. To był wspólny mianownik naszych uczuć w tej niecodziennej chwili. Milczące pojednanie w poczuciu wspólnoty przeżyły towarzyszących myśli o niezujących. I tak jest każdego roku.

Święto zmarłych zachowuje wciąż nienaruszoną pozycję wśród praktyk obyczajowych naszego społeczeństwa. Powodem jest nie sama cześć należna odeszłym, ale również skłonność do zachowania tradycji, która ma swoje znaczenie społeczne i kulturowe. „O zmarłych tylko dobrze” — tak brzmiała sentencja i wyrażała się w niej oprócz poszanowania pamięci ludzi niezujących również tendencja do przejęcia z przeszłości tych postaw, tych wzo-

rów postępowania, które zostały uznane za godne prolongaty w pokoleniu żyjącym i przyszłym. Chcemy z przeszłości czerpać to wszystko, co zapisano w niej wartościową treścią. Ta żyje niezależnie od odejścia reprezentujących ją ludzi.

Naród polski ma szczególny powód dzień pierwszy listopada traktować jako sposobność do zadumy nad cieniami przeszłości. Tu w czasie wojny i okupacji ponieśli śmierć ludzie, którym nie dane było z całym zasobem swojego zapału, swojej życiowej energii wejść w krwiobieg życia narodu. Polegli w walce o wolność. W polowie życia zastygli w pozie sprzeciwu wobec przemocy — łufą czołgu, drutem koncentracyjnego obozu, szeregami egzekucyjnego plutonu wystrzelanej przeciw polskości. Naród był w tej sytuacji, że „do wroga musiał strzelać brylantami”.

Prawo powszedniego dnia powoduje, że nie zawsze możemy odesłać wzrok ku zjawiskom składającym się na naszą przeszłość, ale to nie znaczy, że kiedykolwiek zjawiska te zostały zastąpione rumorem codziennej krzątarniny. Dusza Polaka znajduje się w ciągle dyspozycji wyczulenia na naszą narodową przeszłość. Prawda, że świst szabli i seria partyzanckiego empi są bardzo ekspresyjne. „Hubal”, „Gniazdo”, „Potop” szczególnie przemawiają do nas z ekranów, są elementem naszej społecznej panoramy. To wypowiedź się pogotowie uczeń dla bohaterstwa i poświęcenia, warta patriotyzmu przy pamięci wydarzeń składających się na historię polskości. Nie znaczy to jednak, że w tym emocjonalnym odruchu wyładowuje się cały potencjał obywatelskiego nastawienia. Potrafimy przyjąć przykłady historii jako impuls do działania w dniu dzisiejszym. Młode pokolenie pod różnymi względami może zajmować stanowisko opozycyjne wobec swoich bezpośrednich poprzedników: w pojmowaniu tradycji historycznej, w widzeniu ciągłości polskiego losu narodowego różnie nie ma.

Umarli żyją. Żyj w nas. Nie tylko w tym sensie, że „krew z krwi, a kość z kości”. Żyją najlepszą cząstką swego istnienia, to znaczy swymi

dziełami, pragnieniami, tęsknotami, tym wszystkim, co zostawił trwałą wartość jakąś często podejmowaną i aktualizowaną przez swoich następców. Pozostawili ślad. Każdy z nas pamięta albo jakiś przejaw życzliwości, albo dowód talentu, albo udzieloną pomoc, albo rezultat działania — ze strony ludzi którzy znajdują się już po tamtej stronie. W dniu zmarłych rozmawiamy z nimi. Rozmawiamy tymi płomykami świateł, które łączą się w jeden chór światła zawieszonych lina nad cmentarzem.

Ciągłość tradycji kulturowej. To się tak ładnie nazywa w terminologii humanistycznej. Ale nie tylko na naukowych sympozjach treść tym sformułowanym objęta przemawia swym znaczeniem. To, co zostało utrwalone przez poprzednie pokolenie, jest nam nie tylko problemem, jest również pomocą. „Co stworzył w sprzyjacie zmarli?” — pisał Czechowicz. Przesłanie niezującym? Tak, przesłanie myśli ku sferze, która jako utrwalona w swych najlepszych wartościach jest miarą już wolną od wahań koniunktury, od jednostkowych zawiści, od spowodowanych pośpiechem pomyłek. Poeta, w którego słowach jest tyle o śmierci, jakby ją rychłą przeczuwał, miał prawo szukać pomocy tam, dokąd już nie dochodzi „gwar” i „targ”. Poeta. A my? I my mamy swój udział w odwoływaniu się do świata zmarłych. Na cmentarz w tym dniu przychodzimy również zdawać sprawę z samych siebie, po sprawdzili, surowy, ale i pomocny osąd naszych uczynków. Stawiamy się wobec miar obzerniejszych, jakie nie zawsze w praktyce dnia codziennego znajdują zastosowanie. I jest właśnie humanistycznym, kulturowym znaczeniem tego święta, że w tym dniu staramy się być lepsi. Kult zmarłych to jeden z najważniejszych składników w dorobku kultury ogólnoludzkiej.

Na cmentarzach zostały chrząntemy i nieśmiertelności. Jeszcze gdzieś niegdzie płomyk lampki. I wiatr w szpalerach tuł. W ostrym powietrzu listopada tęsze cisza. To milczą zmarli. Milczeniem, które słyszymy.

Ijon



MARTINA WSZYTAKOWA

KAWA RESTAURANTE

SMIAK

MIKOŚCI I KIZ

Mariusz zmienili pokój sublokatorski. Córka właściciela mieszkania Irena, okazała się bardzo bezpośrednia. Oto dalszy ciąg naszej powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante”.

(54)

— Długo już tu mieszkacie? — spytał Mariusz.
— Od 1998 roku. Sprowadziliśmy się na jesieni, zaraz po przekazaniu tego bloku. Nie masz pojęcia, jakie tu było biuro! Teraz jest zupełnie inaczej.

- A dawno umarli twój ojciec?
- Tatuś? Cztery lata temu zginął w wypadku samochodowym. Nie mów na ten temat z moją mamą, bo to dla niej szczególnie przykra historia. Widzisz, tatuś jechał z dziewczyną do Naleczowa czy do Kazimierza. „Szyrenka” upadła w poślizg. Tatuś zginął na miejscu...
- A ta dziewczyna?
- Złamana obojętnie i trochę się porania. Ale wyszła z tego.
- Znasz ją?
- Tylko z widzenia. Mama bardzo to wszystko przeżyła. Wyobraźasz sobie, jak jej wszyscy współczuli. Nie było to takte normalne współczucie, ale współczucie połączone. Jakby ci tu powiedzieć? Połączone z przejawami sensacji...
- Ojciec kochał tę dziewczynę?
- Trudno mi powiedzieć. U nas to domu to jest temat tabu. Ale kiedyś moja koleżanka, która dobrze zna tę dziewczynę tatuzia, oświadczyła mi, że tatuś miał się rozwiść z mamą i ożenić z tamtą.
- Była to aż tak poważna historia?
- Czy ja wiem? Nie interesuje mnie to zresztą. Nigdy nie utraciałam się w sprawy moich rodziców, bo nie chciałam, aby kiedykolwiek oni wtrącali się w moje.
- Jesteś aż tak samodzielną?
- Jestem, jestem... — Irena uśmiechnęła się troniecznie. — Jak można mówić o samodzielnosci, gdy się zależy od drugiej osoby? Mam wręcz stypendium, mogłabym udzielać korepetycji, ale właściwie z jakiego przedmiotu? Popytaj na matematykę, ale ona mnie nigdy nie pociągala. Interesuję się historią, czy słyszysz

też jednak, aby ktoś poszukiwał korepetycji z tego przedmiotu?

— A język obcy?

— Uczylam się w szkole francuskiego. Gdybym opanowała angielski, wówczas miałabym aż nadto amatorów. A tak?

Mariusz zamysłił się, czuło mu się zmarzniętym. Przed oczyma stanęło mu całe dotychczasowe życie. „Nie. Tak dalej być nie może. Włocześnie nie będzie popychadłem. Musi, żeby nie wiem co, uczyć się dalej, ukonczyć wyższe studia.” Chciał się podzielić swoimi kłopotami, pragnieniami. Szerokość Ireny zrobiła na nim wielkie wrażenie. Trudno mu jednak było zacząć, nie chciał, aby w wypadku to sztucznie. Zdat sobie sprawy, że nie dorośli do Ireny, że trudno mu się wywnędrzyć. Irena była inną niż Basia czy Zuzanna, znacznie od nich inteligentniejsza. Chwilami krępował się jej nawot. Dlatego uciekł się, gdy ona sama naprowadziła rozmowę na jego temat. Tak zresztą go badała ze opowiadaniem jej wszystko, nie pomijając intymnych szczegółów.

— No, no, nieźle sobie zdążyłeś już życie poplątać — stwierdziła, gdy skończył. — A swoją drogą masz szczęście? Kiedy zaczniesz zarabować ów spadek po księdzu Mariuszu?

Ta sprawa rzeczycielicie leżała Mariuszowi na sercu, chociaż po swoich poprzednich doświadczeniach finansowych, tak niefortunnych, zbytnio się nie spieszył. Liczył, że to mu nie ucieknę. Ale Irena miała nieco in-

(cda)